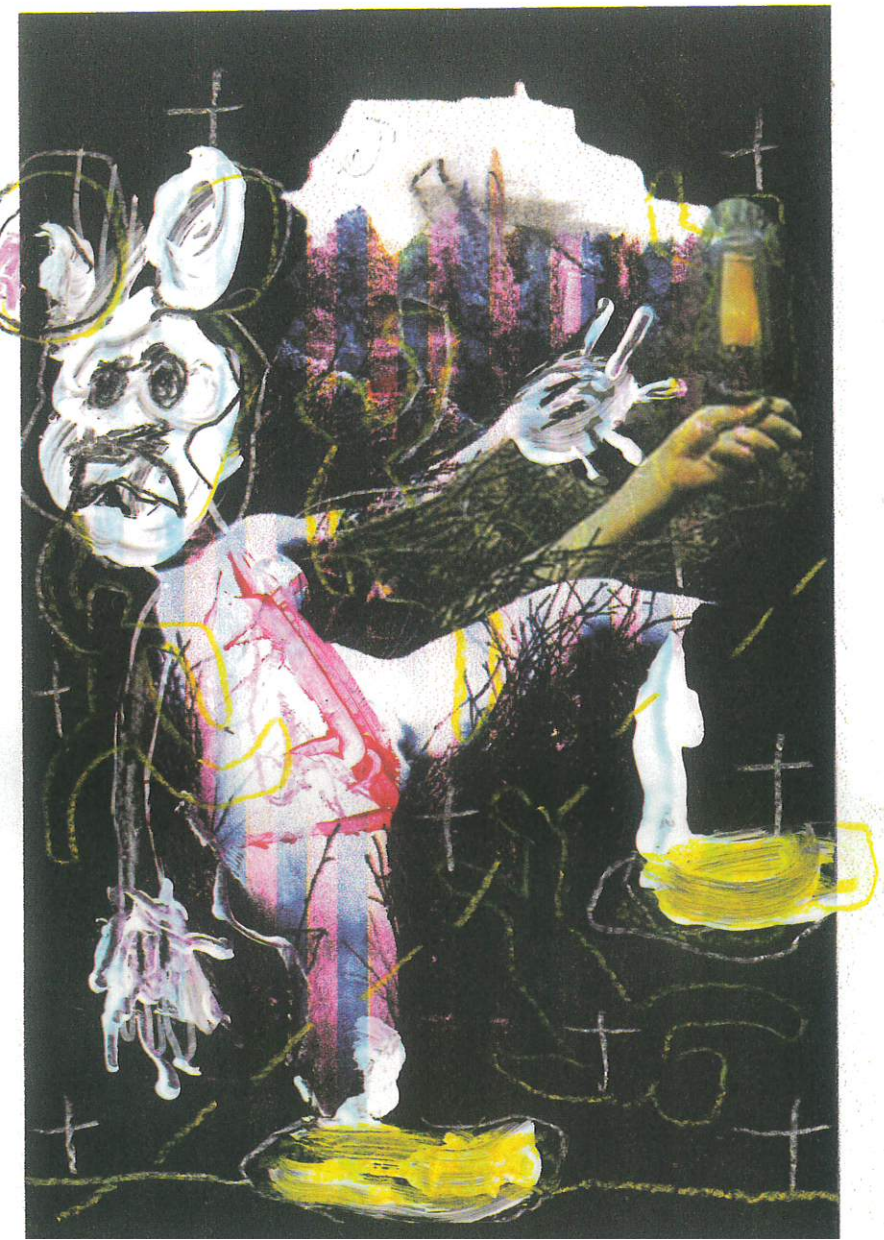
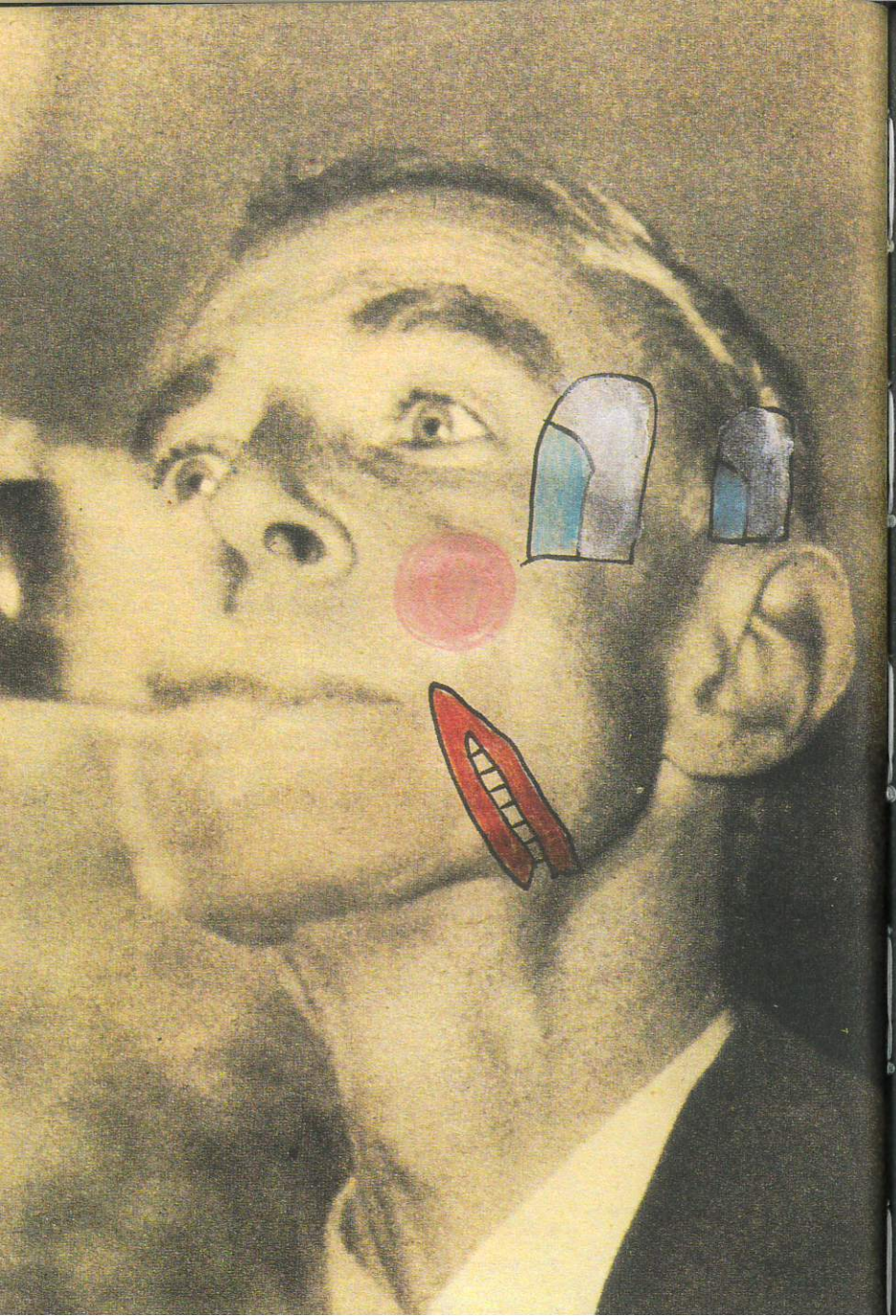


ROBERT LOUIS STEVENSON



ZILUSTROWAŁ

ADAM
MARUSZARA



Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO

PRZEŁOŻYŁ

TADEUSZ JAN DEHNEL

świeżym okiem

DOKTOR JEKYLL i pan Hyde

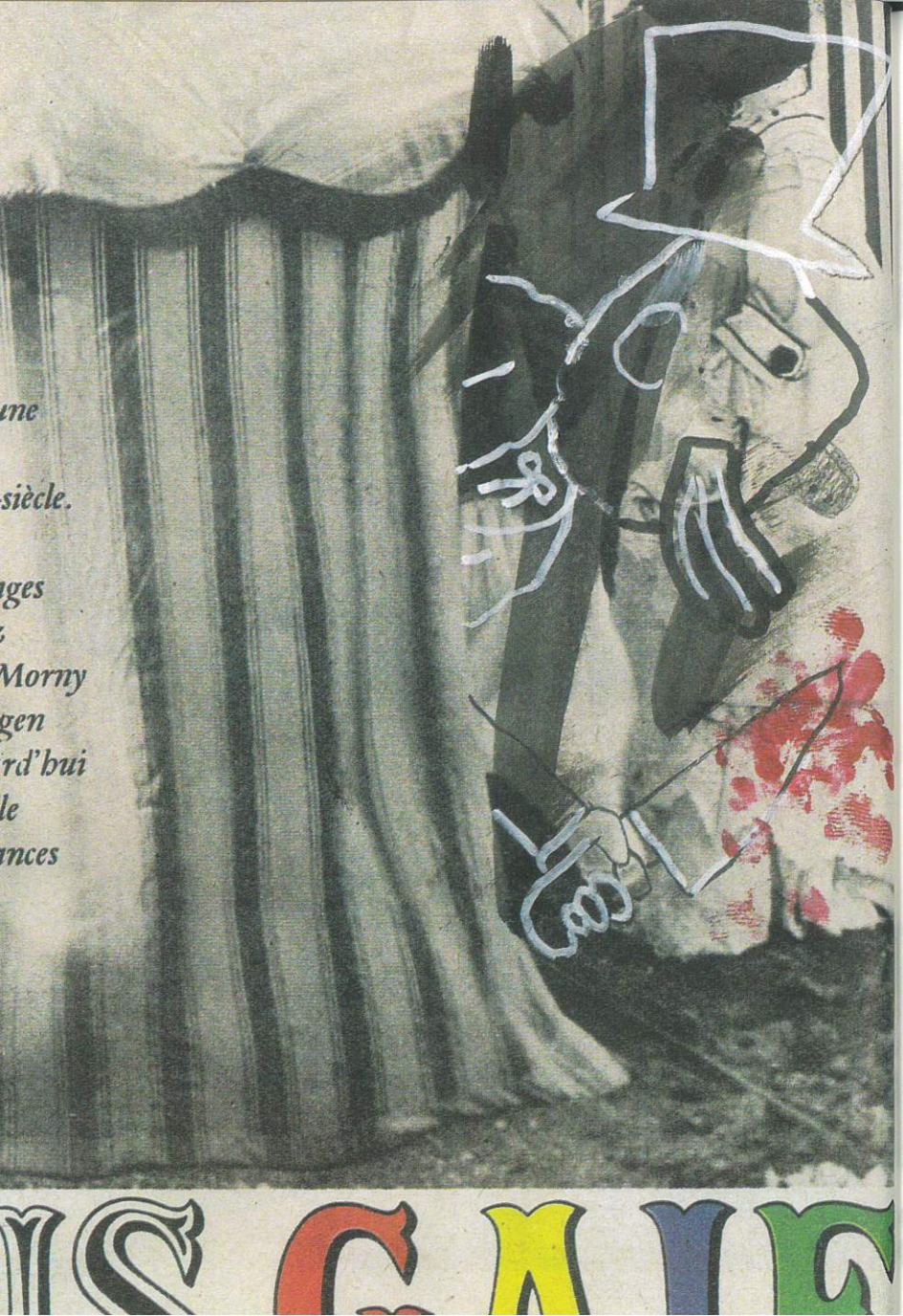
WYDAWNICTWO DWIE SIOSTRY
WARSZAWA 2022

Dla
KATHARINE DE MATTOS

Źle jest rozluźniać więzy, które Bóg stanowi —
Lecz wciąż będziemy dziećmi wiatru i wrzosowisk.
I wciąż dla nas, dalekich — to wszak nie przeminie —
Pięknie kwitnie żarnowiec w północnej krainie.



TAJEMNICZE DRZWI



Uśmiech nie rozjaśniał nigdy surowego oblicza adwokata Uttersona. Był to człowiek wysoki, chudy, szorstki i pochmurny, chłodny, oszczędny w słowach i uczuciach — lecz mimo wszystko ujmujący. Po dobrym obiedzie w gronie przyjaciół, kiedy wino przypadło mu do gustu, z jego oczu wyzierało coś głęboko ludzkiego, co nigdy wprawdzie nie znajdowało upustu w słowach, lecz promieniowało nie tylko z twarzy, ale również (i to nieporównanie częściej i wymowniej) z jego uczynków. Pan Utterson siebie traktował surowo. W samotności pijał dżin, by okiełznać apetyt na dobre wino, i chociaż lubił przedstawienia, nie przestąpił progu teatru od lat dwudziestu. Za to dla innych był pobłażliwy i tolerancyjny, czasami zastanawiał się niemal z zazdrością nad niepohamowaną energią, która popychała ich do występku, w najgorszych zaś przypadkach wolał wyciągnąć pomocną rękę niż ganić. „Przychylam się do odstępstwa Kaina — zwykł mawiać beznamiętnie. — Pozwalam memu bliźniemu iść do diabła tak, jak mu się podoba". Dzięki takim poglądom pan Utterson często bywał ostatnim

przyzwoitym znajomym wykolejeńców, on też do ostatka wywierał dobry wpływ na ich życie i pokąd go odwiedzali, nie dawał im odczuć zmiany w swoim zachowaniu.

Nie sprawiało mu to trudności, gdyż był co najmniej powściągliwy i również wobec przyjaciół zachowywał dyskretną wyrozumiałość. Ludzi skromnych cechuje na ogół to, że grono bliskich przyjmują gotowe z rąk losu. Tak właśnie postępował pan Utterson. Przyjaźnił się z krewniakami lub bardzo dawnymi znajomymi, a sympatie jego nie były kapryśne i jak bluszcz rosły z biegiem czasu. Stąd niewątpliwie więzy łączące pana Uttersona z Ryszardem Enfieldem, dalekim jego kuzynem i światowcem znanym w Londynie. Dla niejednego twardym orzechem do zgryzienia było pytanie, co ci dwaj widzą w sobie wzajemnie i jakie mogą mieć wspólne zainteresowania. Ci, co spotykali ich podczas niedzielnych przechadzek, mówili, że przyjaciele milczą uparcie, mają bardzo znudzone miny i z wyraźną ulgą witają jakiegokolwiek znajomego. Mimo to obaj wysoce sobie cenili te spacery, uważali je za najmilsze chwile tygodnia i bez żalu wyrzekali się dla nich nie tylko rozrywek, lecz również ważnych spraw zawodowych.

Podczas jednej z takich wycieczek panowie Utterson i Enfield trafili na boczną uliczkę w ruchliwej dzielnicy miasta. Uliczka była wąska, krótka i — jak to się mówi — spokojna, lecz w dni powszednie kwitł tam ożywiony handel. Mieszkańcom jej powodziło się dobrze i wszyscy zapewne mieli nadzieję, że będzie jeszcze lepiej. Nadmiar zysków objawiał się w kokieteryjnym wyglądzie ich sklepów, które ciągnąc się wzdłuż chodników, zapraszały przechodniów niby stojące szeregiem uśmiechnięte przekupki. W niedziele uliczka kryła swe najbardziej zalotne powaby i prawie się wyludniała, lecz nawet wówczas lśniła na tle obskurnego sąsiedztwa niczym ognisko w ciemnym borze. Świeżo malowane żaluzje, starannie wypolerowane mosiądze i nieskazitelna czystość zwracały uwagę i radowały wzrok nielicznych przechodniów.

Tuż za rogiem, po lewej ręce idąc ku wschodowi, było wejście na podwórze, a rząd sklepów przerywała wystająca fasada ponurego domostwa. Ten piętrowy budynek bez okien miał tylko

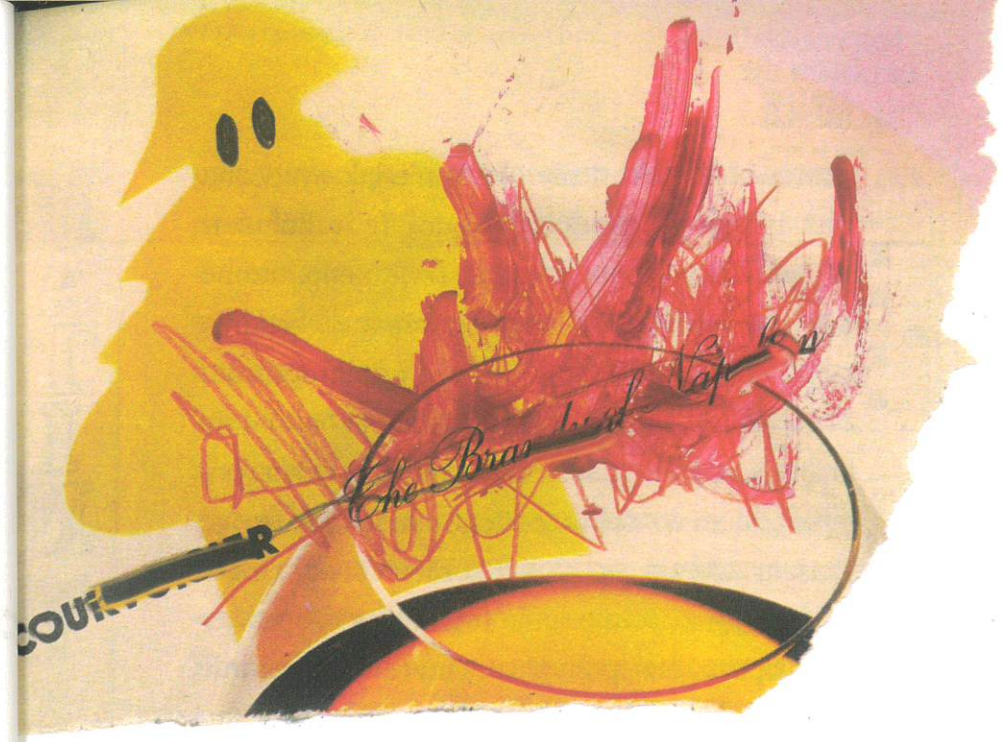
drzwi na parterze, które, podobnie jak widoczna wyżej bura ślepa ściana, świadczyły o długoletnim, żałosnym zaniedbaniu. Drzwi nieopatrzone dzwonkiem ani kołatką były odrapane i brudne. Włóczędzy kryli się w ich wnęce i o chropowatą powierzchnię pocierali zapałki, dzieci bawiły się w sklep na stopniach, a jakiś uczniak wypróbował scyzoryk na futrynie. Od wielu jednak lat nie zjawił się nikt, by przepędzić nieproszonych gości lub naprawić poczynione szkody.

Dwaj przyjaciele szli po przeciwnej stronie uliczki, lecz kiedy zrównali się z opisanym domem, pan Enfield wskazał laską w jego kierunku.

— Zwróciłeś kiedyś uwagę na te drzwi? — zapytał, a gdy adwokat twierdząco skinął głową, dodał: — Przypominają mi bardzo dziwaczną historię.

— Czyżby? — powiedział pan Utterson lekko zmienionym głosem. — Jaką mianowicie?

— Chcesz, to posłuchaj — zaczął Ryszard Enfield. — Raz w ciemną zimową noc musiałem być w jakimś miejscu na końcu świata i wracałem do domu około trzeciej nad ranem. Droga wiodła przez dzielnicę, gdzie, słowo daję, nie było widać absolutnie nic prócz latarń. Ulica po ulicy pogrążone we śnie, a wszystkie oświetlone jak na uroczysty pochód i puste niczym kościół o północy. Wreszcie poczułem się nieswojo i bliski byłem stanu, kiedy to człowiek bacznie nasłuchuje i zaczyna tęsknić do widoku policjanta. Nagle zobaczyłem dwie ludzkie postacie. Krępy mężczyzna nadchodził szybkim, donośnym krokiem, a ośmio- lub dziesięcioletnia dziewczynka, biegnąc co sił, zbliżała się przecznicą. Na rogu nastąpiło zderzenie i wtedy wydarzyła się potworna historia. Mężczyzna z zimną krwią

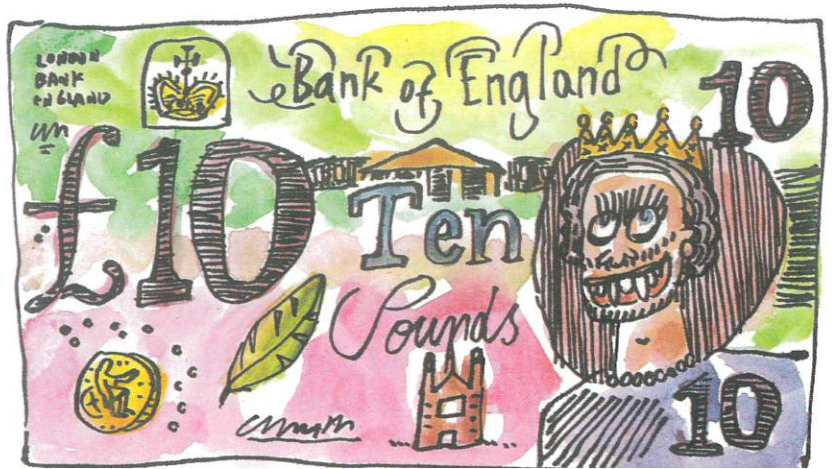


stratował dziecko i nie obejrzał się nawet, chociaż leżało na chodniku i zawodziło żałośnie. W opowiadaniu nie wygląda to groźnie, ale widok był doprawdy straszliwy. Ów człowiek postąpił nie jak istota ludzka, lecz jak Dżagannath z piekła rodem. Cóż, skoczyłem za nim i po krótkiej pogoni ucapiłem za kołnierz, by wrócić z ptaszkiem do wzburzonej gromadki, która tymczasem zebrała się wokół rozszlochanej dziewczynki. Był zupełnie spokojny i nie próbował stawiać oporu, ale spojrzał na mnie tak paskudnie, że przeszły mnie ciarki. Od tego spojrzenia spociłem się bardziej niż od biegu. Przy małej stała jej rodzina, niebawem zaś nadszedł lekarz, po którego ją z domu wysłano. Według opinii eskulapa dziecku nie stało się nic złego, najadło się tylko strachu. Należałoby sądzić, że wszystko się na tym skończy, lecz dziwna okoliczność zwróciła moją uwagę. Widzisz, od pierwszego rzutu oka znienawidziłem swojego jeńca. Rodzina poturbowanej darzyła go podobnym uczuciem, co zresztą było zupełnie naturalne. Ale zdumiał mnie lekarz — zwyczajny, pozbawiony wyrazu, zasuszony jegomość w nieokreślonym wieku, mówiący edynburskim akcentem i równie skłonny do wzruszeń jak szkockie dudy. Wyobraź sobie, że i on zachowywał się jak my wszyscy. Ilekroć spojrzał na przedmiot ogólnej niechęci, aż bladł i siniał z pragnienia, by go zabić. Dobrze rozumiałem, co się w nim dzieje (podobnie jak on wiedział, co dzieje się we mnie), ponieważ jednak o zabójstwie nie mogło być mowy, wymyśliliśmy coś innego. Oznajmiliśmy barbarzyńcy, że w związku z tym zajściem narobimy hałasu i nie damy za wygraną, póki jego nazwisko nie zacznie cuchnąć z jednego krańca Londynu na drugi; że postaramy się, by stracił wiarygodność i przyjaciół, jeżeli ich w ogóle posiada. Gdy tak nacieraliśmy z zapałem i brawurą, musieliśmy odpędzać od niego kobiety rozjuszone niczym harpie. Jak żyję, nie widziałem kręgu twarzy ziejących równą nienawiścią. A pośrodku stał ten osobnik, mroczny, milczący, chłodny, i chociaż bał się — czego nie potrafił ukryć — znosił tę scenę z pogardą godną szatana. „Jeżeli panowie chcą zrobić skandal — powiedział — nic nie poradzę. Wolałbym jednak uniknąć awantury. Proszę wymienić sumę". Zażądaliśmy stu funtów dla rodziców

poszkodowanego dziecka. Tamten wił się niczym piskorz i próbował targów, lecz nasza gromada wyglądała tak groźnie, że w końcu się ugiął. Powstała teraz kwestia wyegzekwowania pieniędzy. Jak myślisz? Dokąd nas ten gbur zaprowadził? Otóż pod drzwi, od których zaczęła się nasza rozmowa! Wydobył z kieszeni klucz, wszedł do domu i wrócił po chwili, niosąc dziesięć złotych suwerenów oraz czek z banku Couttsa, płatny na okaziciela, a podpisany nazwiskiem, którego nie mogę wymienić, chociaż ono właśnie dodaje smaku całej historii. Rozumiesz, to nazwisko dosyć głośne i często spotykane w druku. Czek opiewał na poważną sumę, lecz znacznie więcej wart był ów podpis, jeżeli oczywiście był prawdziwy. Pozwoliłem sobie zwrócić uwagę, iż cała sprawa przedstawia się podejrzanie, bo w normalnych warunkach nikt nie może zniknąć o czwartej rano za piwnicznymi drzwiami i wrócić z cudzym czekiem na blisko sto funtów. Ale on nie stropił się i powiedział z ironicznym uśmiechem: „Niech pan będzie spokojny. Zostanę z państwem aż do otwarcia banku. Wtedy sam zrealizuję czek". Wobec tego lekarz, ojciec małej i nasz jeniec przesiedzieli u mnie do rana. Po śniadaniu udaliśmy się do banku, gdzie przedstawiłem czek, mówiąc wyraźnie, iż podejrzewam fałszerstwo. Ale nie! Podpis był najprawdziwszy!

— Ho, ho! — wtrącił pan Utterson.

— Widzę, że podzielasz moje uczucia — podjął pan Enfield. — To paskudna sprawa! Z tym podejrzanym typem, z tym gburem nikt uczciwy nie chciałby mieć do czynienia. A wystawca czeku to wzór przyzwoitości, szeroko znany i co gorsza (podobnie jak ty), szczerze oddany temu, co nazywacie dobroczynnością. Podejrzewam szantaż. Zacny człowiek płaci za jakieś grzeszki młodości. Płaci, bo musi. Dzięki



temu zajściu budynek z tajemniczymi drzwiami przestał być dla mnie bezimienny. Nazywam go Domem Szantażysty. — Zamyślił się i po chwili dodał nieco ciszej: — Chociaż, mój drogi, szantaż niezupełnie rozwiązuje zagadkę.

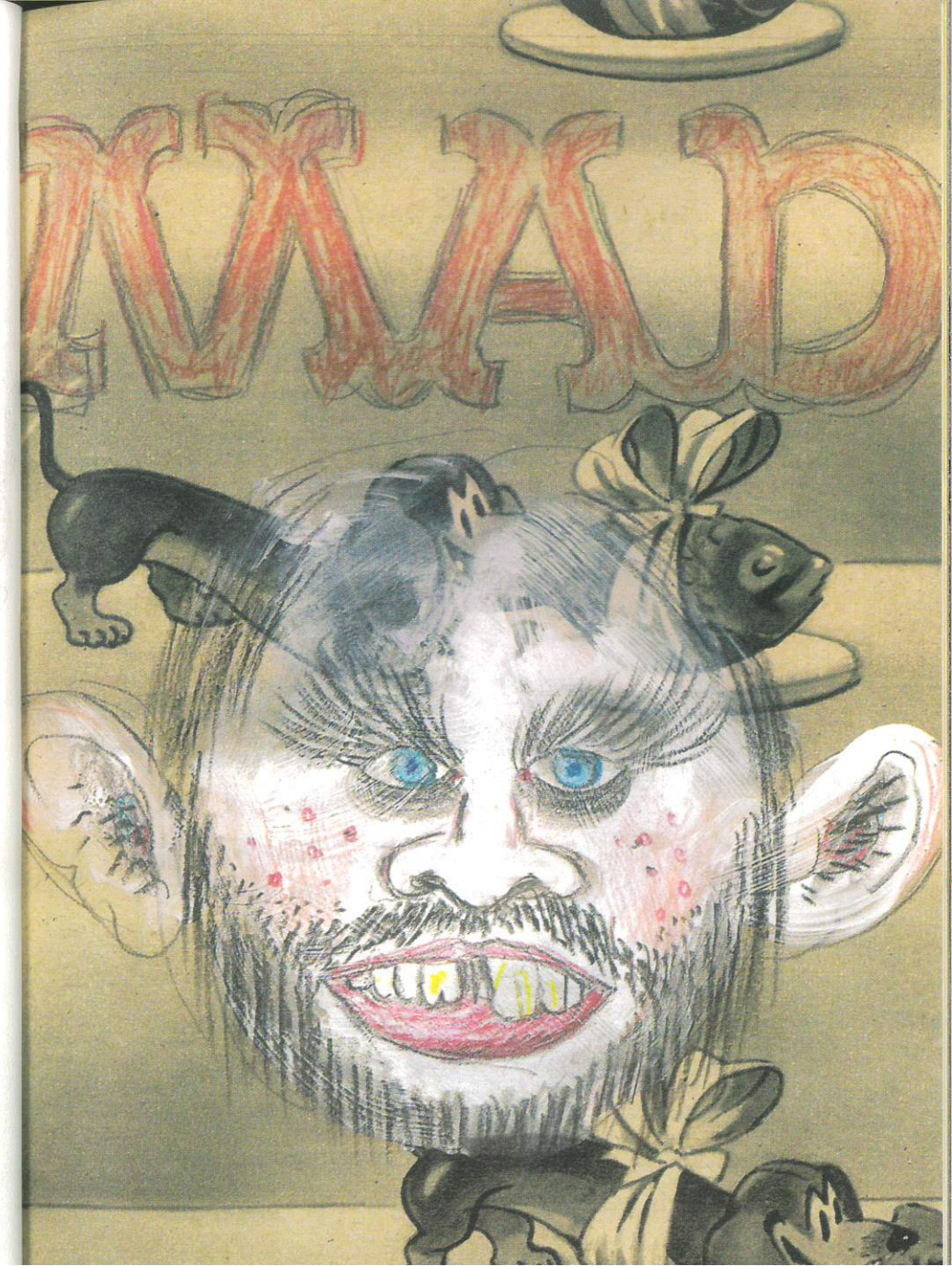
Znowu utonął w zadumie i ocknął się dopiero na dość nieoczekiwane pytanie towarzysza:

— A nie wiesz, czy wystawca czeku mieszka w tamtym domu?

— Tak by się należało spodziewać — odparł pan Enfield. — Ale nie! Przypadkiem zwróciłem uwagę na jego adres. Mieszka przy jakimś placu. Zapomniałem nazwy.

— Czy próbowałeś dowiedzieć się więcej o... o tym domu z tajemniczymi drzwiami?

— Nie, mój drogi! Znasz chyba moją delikatność i dyskrecję — brzmiała odpowiedź. — Nie znoszę zadawać pytań, bo mi to pachnie Sądem Ostatecznym. Rzucić choćby błahe pytanie to tak, jak poruszyć kamień. Siedzisz spokojnie na szczycie wzgórza, a kamień toczy się i porusza inne kamienie. Wreszcie jakiś poczciwina — ostatni człowiek, o którym mógłbyś pomyśleć — podlewając własny ogródek, dostanie po





głowie i jego rodzina będzie musiała zmienić nazwisko. Nie, mój drogi! Hołduję niewzruszonej zasadzie: im bardziej osobliwa historia, tym mniej o nią pytam.

— Dobra zasada, dobra — przyznał adwokat.

— Ale na własną rękę obserwowałem tę zagadkową budowlę — podjął pan Enfield. — Nie bardzo nawet wygląda na dom mieszkalny. Nie ma drugich drzwi, a tymi jedynymi wychodzi lub wchodzi tylko bohater mojej opowieści, i to niezmiernie rzadko. Od strony podwórza są na piętrze trzy okna, zawsze zamknięte, ale czyste. Parter jest ślepy. Zauważyłem, że z komina zazwyczaj się dymi. Wynikałoby z tego, że ktoś tam jednak mieszka. Ale budynki w tym podwórzu są tak stłoczone, że właściwie nie wiadomo, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi... To jakaś dziwna sprawa!

Przyjaciele szli przez pewien czas w milczeniu. Wreszcie odezwał się adwokat:

— Posłuchaj, Ryszardzie. Hołdujesz dobrej zasadzie.

— I ja tak sądzę — odrzekł pan Enfield.

— Mimo to chciałbym cię o jedno zapytać — podjął prawnik. — O nazwisko tamtego człowieka, który poturbował dziecko.

— Cóż, nie widzę w tym nic złego. Nazywa się Hyde.

— Hyde — powtórzył pan Utterson. — A jak wygląda?

— Niełatwo go opisać. Ma w sobie coś odrażającego, plugawego. Budzi żywiołową niechęć. Jak żyję, nie widziałem nikogo równie wstrętnego, ale nie mam pojęcia, czemu to przypisać. Sprawia wrażenie kaleki, lecz rodzaju jego kalectwa określić niepodobna. Wygląda niezwykle, inaczej niż wszyscy ludzie, jakkolwiek nie ma w sobie nic osobliwego. Nie, mój drogi, to przekracza moje siły! Nie potrafię opisać tej figury. Bynajmniej nie z braku pamięci, bo nawet w tej chwili mam go przed oczami.

Pan Utterson kroczył znów przez pewien czas w milczeniu; niewątpliwie pogrążony był w myślach.

— Jesteś pewien, że ten Hyde posłużył się kluczem? — zapytał wreszcie.

— Mój drogi... — żachnął się zdumiony i zaskoczony Enfield.

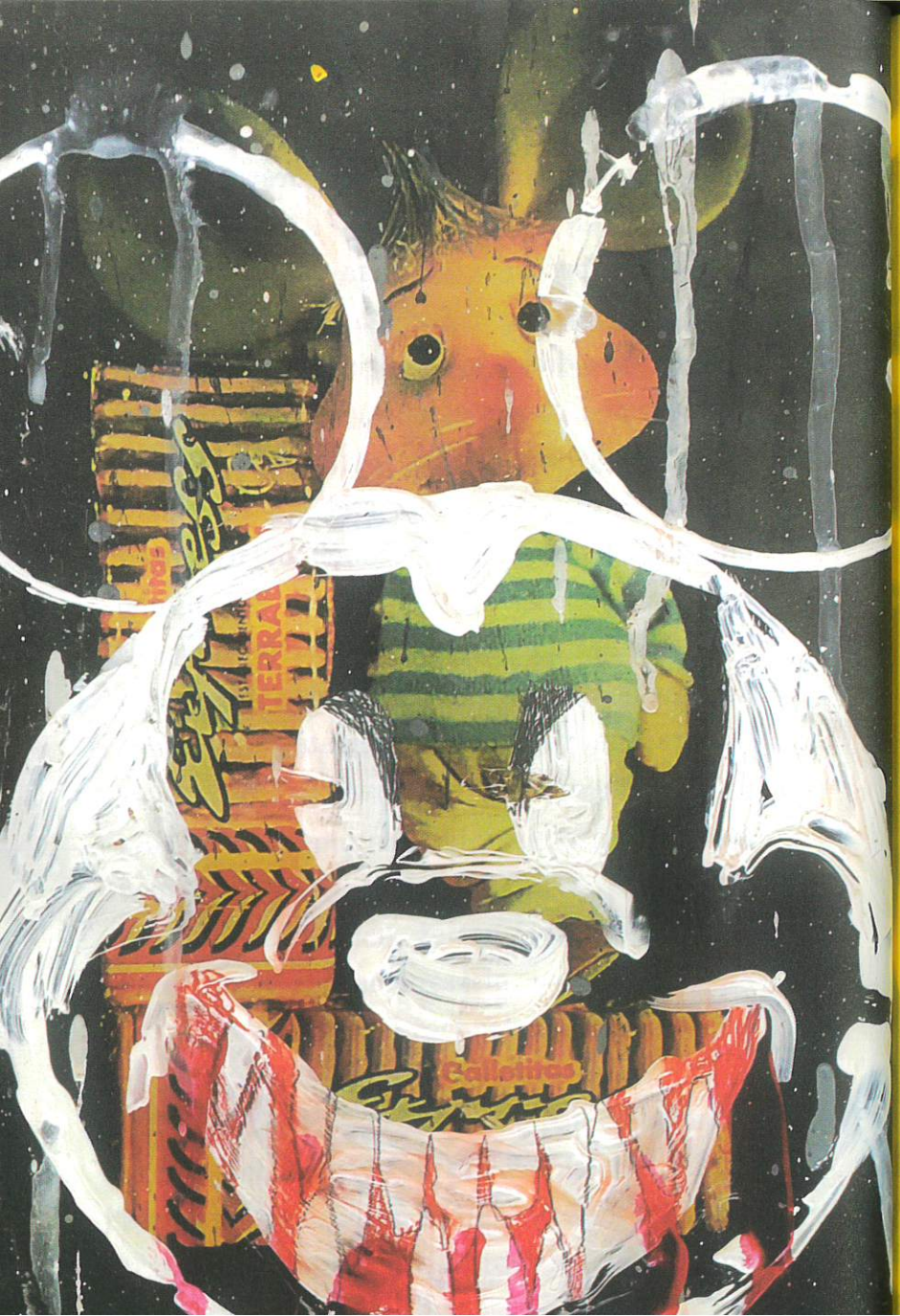
— Tak, tak — przerwał mu pan Utterson. — Rozumiem, że dziwi cię ta cała historia. Cóż, ja nie pytam o nazwisko wystawcy czeku tylko dlatego, że jest mi znane. Skierowałeś opowiadanie pod właściwy adres. Jeżeli dopuściłeś się nieścisłości, sprostuj je lepiej.

— Mógłbyś mnie zawczasu ostrzec — powiedział z wyrzutem pan Enfield. — Ale w opowiadaniu byłem drobiazgowo ścisły. Hyde posłużył się kluczem i, co więcej, posługuje się nim nadal. Widziałem go tu niespełna tydzień temu.

Pan Utterson westchnął głęboko, lecz nie odezwał się słowem, a jego młody towarzysz podjął niebawem:

— Znów dostałem nauczkę. Najlepiej nic nie mówić. Wstyd mi długiego języka! Proszę cię, nie wracajmy nigdy do tego tematu.

— Z chęcią — odparł prawnik. — A na zgodę daj rękę.



POSZUKIWANIE PANA HYDE'A



Pan Utterson wrócił z przechadzki zasępiony i do jedzenia zabrał się bez apetytu. Niedzielne wieczory spędzał zazwyczaj w swoim kawalerskim domu, gdzie siadał po obiedzie w pobliżu kominka i rozłożywszy na pulpicie tom jakiejś suchej rozprawy teologicznej, czekał cierpliwie, aż na pobliskim kościele zegar wybije dwunastą. Wówczas spokojnie i z lekkim sercem szedł do łóżka. Ale tego wieczora, ledwie zdjęto obrus ze stołu, wziął świecę i powędrował do gabinetu. Otworzył sejf, dobył z sekretnego schowka kopertę z napisem „Ostatnia wola doktora Jekylla", usiadł i ze zmarszczonym czołem począł w skupieniu czytać ów dokument. Był to testament własnoręczny, bo pan Utterson zgodził się wprawdzie przyjąć gotowy depozyt, lecz w swoim czasie odmówił jakiejkolwiek pomocy przy sporządzaniu aktu notarialnego. Ostatnią swą wolą Henryk Jekyll, doktor medycyny i prawa, członek Towarzystwa Królewskiego w Londynie, zapisywał cały majątek „swojemu przyjacielowi i dobroczyńcy, Edwardowi Hyde'owi". Ale nie koniec na tym. W przypadku „zniknięcia testatora

lub niewyjaśnionej jego nieobecności w okresie dłuższym niż trzy miesiące" rzeczony Edward Hyde miał niezwłocznie przejąć na własność jego schedę, wolną od wszelkich zobowiązań i obciążeń z wyjątkiem kilku drobnych zapisów dla domowników doktora. Sprawa ta była od dawna solą w oku pana Uttersona. Raziła go jako prawnika oraz jako czciciela prostych, utartych dróg, dla którego wszystko, co niezwyczajne, graniczyło ze zdrożnością. Dotychczas najbardziej drażniło go to, że pan Hyde był zupełnie nieznaną mu osobą, teraz — na skutek nagłego zwrotu — to, co już o nim wiedział. Przykro było mieć do czynienia jedynie z nazwiskiem, o którym w dodatku nic nie wiadomo. Teraz jednak nazwisko oblekało się w ohydne właściwości. Z mgły od lat przysłaniającej obraz nagle wyłonił się kształt demona. Było to nieporównanie smutniejsze.

— Podejrzewałem obłęd — mruknął pan Utterson, chowając haniebny dokument do sejfu. — Dziś obawiam się niesławy.

Zdmuchnął świecę, włożył płaszcz i ruszył w stronę Cavendish Square, owego przybytku medycyny, gdzie jego przyjaciel — wielki doktor Lanyon — mieszkał i przyjmował tłum pacjentów. „Jeden Lanyon może coś wiedzieć o tej sprawie" — myślał po drodze.

Sztywny kamerdyner znał go i przywitał życzliwie, toteż pan Utterson nie musiał czekać, lecz został niezwłocznie wprowadzony do jadalni, gdzie gospodarz w samotności pił wino po kolacji. Słynny lekarz był jowialny, tryskający zdrowiem, wytworny i czerstwy. Miał bujną, przedwcześnie pobielałą czuprynę i żywe, pewne ruchy. Na powitanie gościa zerwał się z krzesła; wyciągnął doń obydwie ręce. Ta wylewność, podobnie jak całe zachowanie doktora, robiły wrażenie nieco teatralne, lecz stanowiły wyraz szczerych uczuć. Dwaj panowie byli bowiem dawnymi przyjaciółmi, kolegami ze szkoły i uniwersytetu, a ponadto darzyli się nawzajem życzliwym szacunkiem i — co nie zawsze idzie w parze — naprawdę czuli się dobrze w swoim towarzystwie.

Po krótkiej gawędzie o tym i o owym adwokat poruszył nurtującą go niemiłą kwestię.

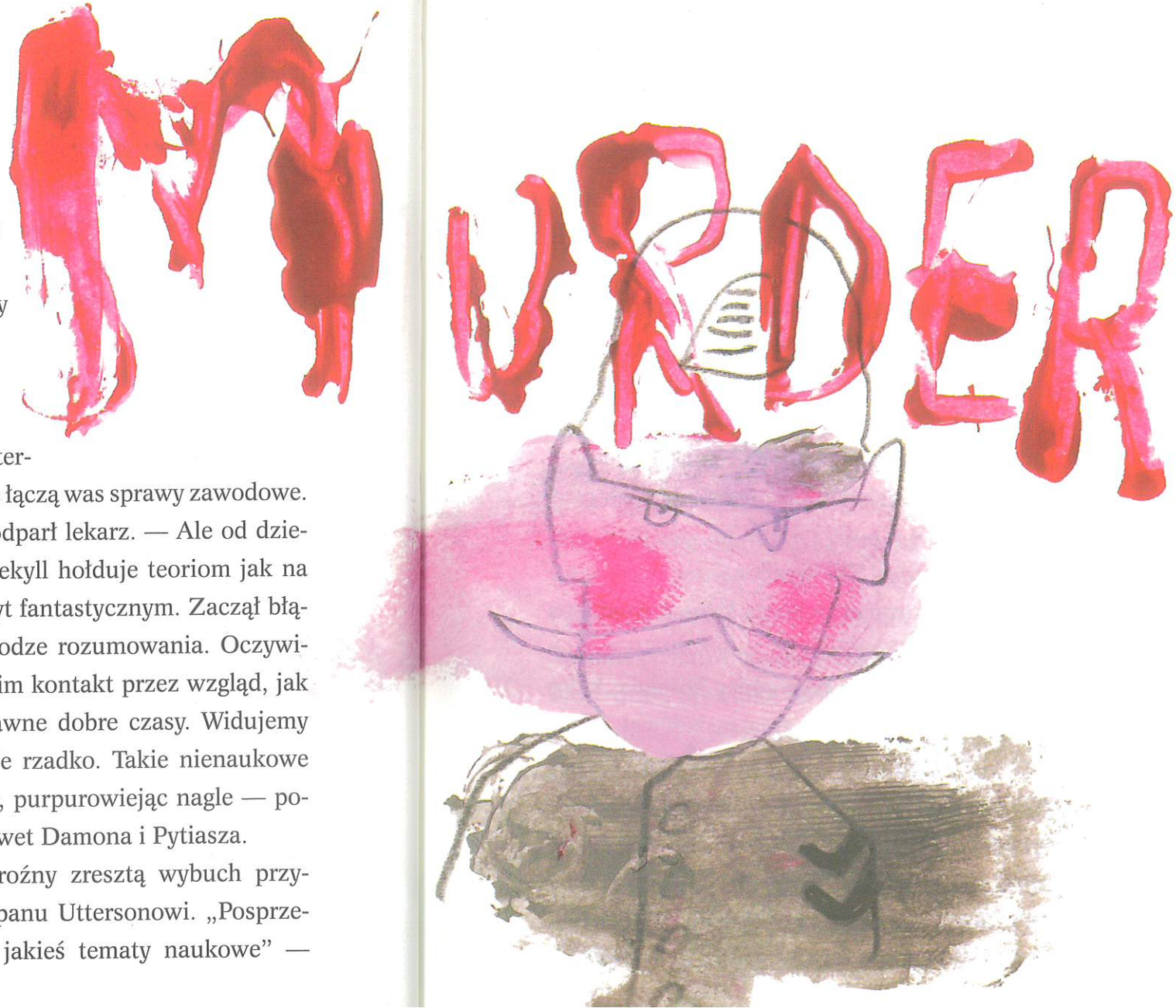
— Myślę, Lanyon — rozpoczął — że Henryk Jekyll nie ma starszych przyjaciół niż ty albo ja?

— Szkoda, że ci przyjaciele nie są trochę młodsi, ale masz chyba rację — roześmiał się gospodarz. — I cóż z tego? Spotykamy się teraz bardzo rzadko.

— Czyżby? — zdziwił się pan Utterson. — Sądziłem, że łączą was sprawy zawodowe.

— Łączyły — odparł lekarz. — Ale od dziesięciu lat Henryk Jekyll hołduje teoriom jak na mój gust trochę zbyt fantastycznym. Zaczął błądzić, błądzić na drodze rozumowania. Oczywiście, utrzymuję z nim kontakt przez wzgląd, jak to się mówi, na dawne dobre czasy. Widujemy się jednak diabelnie rzadko. Takie nienaukowe bajanie — dorzucił, purpurowiejąc nagle — poróżniłoby chyba nawet Damona i Pytiasza.

Końcowy, niegroźny zresztą wybuch przyniósł niejaką ulgę panu Uttersonowi. „Posprzeczali się tylko na jakieś tematy naukowe" —



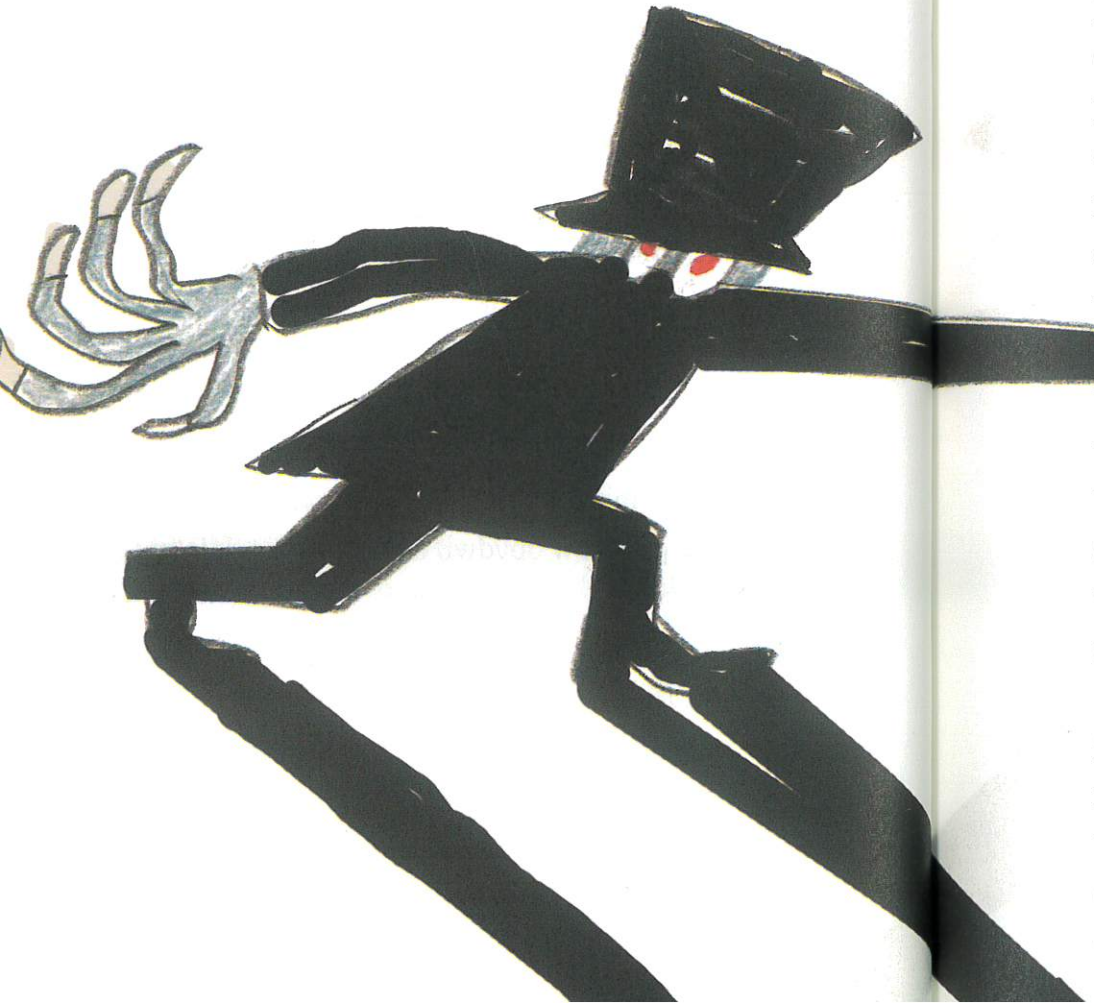
pomyślał prawnik, a że sam nie był fanatykiem nauki (z wyjątkiem teorii dotyczących przeniesienia tytułu własności), uznał nawet: mogłoby być gorzej. Następnie zostawił przyjacielowi kilka sekund na ochłonięcie i zaryzykował pytanie, które stanowiło powód odwiedzin:

— Czy zetknąłeś się kiedy z protegowanym Jekylla... z niejakim Hyde'em?

— Z Hyde'em? Nie. Jak żyję nie słyszałem tego nazwiska — odparł doktor Lanyon.

Tyle tylko dowiedział się adwokat, poszedł więc na spoczynek zatroskany i do białego rana przewracał się z boku na bok na ciemnym, staroświeckim łożu. Nie wypoczął tej nocy, gdyż dręczyły go liczne pytania, na które niepodobna było znaleźć odpowiedzi.

Szósta wybiła na dzwonnicy kościoła, który ku wygodzie pana Uttersona sąsiadował z jego domem, a adwokat wciąż głowił się nad zawiłym problemem. Dotychczas była to kwestia czysto intelektualna, obecnie jednak zajęła, a raczej wzięła w niewolę również wyobraźnię. Stary prawnik męczył się długo; w mroku zasłoniętego storami pokoju opowieść Enfielda przesuwała się przed nim jak ciąg rozświetlonych obrazów. Widział niezliczone latarnie pogrążonego we śnie wielkiego miasta. Widział sylwetkę szybko nadchodzącego mężczyzny i małą dziewczynkę, która wystraszona biegnie od lekarza. Następuje zderzenie. Wcielony Dżagannath bezlitośnie tratuje dziecko i kroczy dalej swoją drogą, nie bacząc na płacz ofiary. Później fantazja maluje coś innego: pan Utterson widzi pokój w zasobnym domu, gdzie przyjaciel śpi błogo i uśmiecha się przez sen do swoich marzeń. Nagle otwierają się drzwi, rozchylają zasłony łóżka, nad uśpionym staje groźna postać — ktoś obdarzony tak wielką władzą, że doktor Jekyll, obudzony pośród głuchej nocy, musi wstać i zadośćuczynić jego woli. Ta sama postać w obydwu fazach swego działania nawiedzała prawnika do świtu nawet wówczas, gdy zapadał w drzemkę. Raz sunęła ukradkiem przez pokoje znajomego domu, raz szybko — coraz szybciej, aż do zawrotu głowy — mknęła labiryntem oświetlonych, pustych ulic, by na każdym rogu tratować i porzucać zawodzące żałośnie dziecko. Ale postać nie miała twarzy, po której można by ją poznać. Nawet w koszmarnym śnie



twarz ta była zamglona albo rozpływała się na jego oczach. Dzięki temu w panu Uttersonie zrodziła się i nabrała mocy gwałtowna, nieodparta chęć, by zaznajomić się z obliczem prawdziwego pana Hyde'a. Adwokat miał nadzieję, że gdyby choć raz zobaczył tego człowieka, zagadka wyjaśniłaby się i przestała być atrakcyjna, jak to się zwykle zdarza po bliższym zbadaniu tajemniczych zjawisk czy rzeczy. Zapewne odnalazłby się wtedy klucz do dziwacznej przyjaźni lub niewoli (mniejsza o nazwę!), a może nawet do osobliwej treści testamentu doktora Jekylla. W każdym razie warto obejrzeć twarz istoty ludzkiej do cna pozbawionej miłosierdzia — twarz, której przelotny widok potrafił wzbudzić namiętną nienawiść w sercu beznamiętnego Ryszarda Enfielda.

Od tej chwili pan Utterson zaczął nawiedzać pobliże domu przy bocznej uliczce. Rano, przed rozpoczęciem pracy; w południe, kiedy kipiał tam ożywiony handel; nocą, pod księżycem zasnutym dymami miasta — o każdej porze, w godzinach pustki i największego ruchu, adwokata

można było spotkać na obranym posterunku. „Kryj się, jak chcesz, panie Hyde — myślał. — Tak czy inaczej, odnaleźć cię muszę".

Wreszcie cierpliwość doczekała się nagrody. W pogodny, widny, mroźny wieczór uliczka była czysta jak sala balowa, a latarnie — których nie poruszał najlżejszy nawet powiew — zdobiły ją regularnym deseniem świateł i cieni. Po zamknięciu sklepów, mniej więcej o dziesiątej, zrobiło się dokoła pusto i bardzo cicho, chociaż zewsząd nadpływał stłumiony pogwar Londynu. Nawet słabe dźwięki niosły się daleko. Po przeciwnej stronie jezdni słychać było odgłosy życia ludzkich siedzib, a miarowy stukot wcześnie zapowiadał każdego przechodnia. Pan Utterson czuwał już od kilku minut na posterunku, gdy złowił uchem zbliżający się tupot dziwnych, szczególnie lekkich kroków. Podczas nocnych czat zdążył przywyknąć do wrażenia, jakie sprawia wyłaniający się nagle z wielkomiejskiego gwaru takt wybijany stopami pojedynczego człowieka. Tym razem jednak odległe echo było odmienne, wstrząsające, i pan Utterson, podświadomie przeczuwając sukces, cofnął się spiesznie w gardziel podwórza.

Kroki były coraz bliżej i bliżej, aż nagle — kiedy skręciły na rogu uliczki — odgłos ich przybrał na sile. Adwokat wyjrzał zza węgła i na pierwszy rzut oka ocenił, z jakiego pokroju człowiekiem będzie miał do czynienia. Nadchodzący mężczyzna był niski, bardzo skromnie odziany i nawet z daleka sprawiał szczególnie odpychające wrażenie. Zmierzał w stronę tajemniczych drzwi i w pośpiechu, przecinając ukosem jezdnię, wyjmował z kieszeni klucz, jak ktoś wracający do domu.

Pan Utterson wystąpił na oświetlony chodnik i dotknął ramienia nieznajomego.

— Pan Hyde, zdaje się? — zapytał.

Zagadnięty cofnął się, wzdrygnął i syknął przez zęby, lecz przerażenie jego było widać jedynie chwilowe, gdyż zaraz odpowiedział chłodno i spokojnie, chociaż nie spojrzał w oczy natrętowi:

— Tak. Nazywam się Hyde. Czego pan chce ode mnie?

— Widzę, że pan tu wchodzi — odparł prawnik. — Jestem starym przyjacielem doktora Jekylla... Utterson z Gaunt Street. Zapewne słyszał

pan o mnie? Cóż, spotkaliśmy się w samą porę. Czy wolno wejść z panem?

— Nie zastanie pan teraz doktora Jekylla. Nie ma go tutaj — burknął Hyde, wsuwając klucz w zamek, i szybko dodał, nie podnosząc oczu: — Skąd pan mnie zna?

— Chciałbym również prosić pana o pewną uprzejmość — podjął adwokat, pomijając milczeniem pytanie.

— Służę. O co chodzi?

— Pozwoli pan spojrzeć sobie w twarz?

Pan Hyde stropił się, zawahał, lecz niebawem, jak gdyby powziąwszy decyzję, zmierzył prawnika wyzywającym wzrokiem. Przez kilka sekund obaj obserwowali się bacznie.

— Teraz poznam pana zawsze i wszędzie — odezwał się wreszcie prawnik. — Może się to kiedyś przydać.

— Zapewne. Cieszę się z naszego spotkania... Aha! Sądzę, że powinien pan mieć mój adres. — Tu wymienił numer domu przy pewnej ulicy w Soho.

„Wielki Boże! Czyżby i on pił do ostatniej woli Jekylla?" — pomyślał pan Utterson, nie dał



jednak wyrazu uczuciom i mimochodem podziękował za adres.

— Pozwolę sobie zapytać po raz drugi — podjął tamten — skąd pan mnie zna?

— Z opisu.

— A kto mnie opisywał?

— Mamy wspólnych znajomych.

— Wspólnych znajomych? — powtórzył pan Hyde niby ochrypłe echo. — Jakich to?

— No, na przykład Jekyll.

— On panu nic nie mówił! — zawołał Hyde z nagłą pasją. — Nie wiedziałem, że rozmawiam z łgarzem.

— Hola! — obruszył się adwokat. — Wypraszam sobie takie słowa!

Pan Hyde zarechotał donośnym śmiechem, szybko otworzył drzwi i zniknął w mgnieniu oka.

Pozostawiony tak pan Utterson stał przez chwilę bez ruchu, niby posąg strapienia. Później jął z wolna oddalać się uliczką i przystając co kilka kroków, dotykał ręką czoła, jak gdyby dręczyła go duchowa rozterka. Pytanie, które roztrząsał, należało do trudnych problemów. Pan Hyde jest mały — prawie karzeł — i blady. Sprawia wrażenie kaleki, chociaż kalectwa jego niepodobna nazwać. Ma odrażający uśmiech, a zachowanie jego cechowała wstrętna mieszanina skrępowania i zuchwałości. Mówi ochrypłym szeptem, łamie mu się głos. Wszystko to razem wzięte przemawia oczywiście przeciwko niemu, lecz jeszcze nie uzasadnia wstrętu, niechęci i obaw, jakie wzbudził w panu Uttersonie.

— Musi być w tym coś innego — mówił do siebie zafrasowany prawnik — chociaż, Bóg mi świadkiem, nie mam pojęcia, jak to nazwać. Ten osobnik ma w sobie niewiele z człowieka. Przypomina jaskiniowca. A może to stara historia o żywiołowej antypatii? Może plugawa dusza prześwieca przez doczesną powłokę i potwornie szpeci jej kształt? Tak! Chyba słuszna będzie ostatnia hipoteza. O mój poczciwy, nieszczęsny Jekyllu! Nigdy jeszcze nie widziałem piętna szatana tak wyraźnie jak na twarzy twojego nowego przyjaciela!

Za rogiem bocznej uliczki leżał plac otoczony pięknymi starymi domami, które podupadły ostatnio i zapomniały o dawnej świetności. Wynajmowano w nich mieszkania lub pojedyncze

pokoje, które zajmowali ludzie wszelakiej profesji: kartografowie, architekci, pokątni adwokaci i agenci rozmaitych podejrzanych spółek. Tylko jeden dom, drugi od rogu, nadal miał jednego właściciela i tchnął bogactwem i wygodą, chociaż obecnie tonął w ciemnościach, a wątłym światełkiem połyskiwało tylko półkoliste okienko nad drzwiami. Do tych właśnie drzwi zakołatał pan Utterson. Otworzył mu starszawy, nienagannie ubrany lokaj.

— Dobry wieczór, Poole. Doktor Jekyll w domu? — zapytał prawnik.

— Zaraz zobaczę, panie mecenasie — odrzekł Poole. — Zechce pan mecenas zaczekać tutaj, przy ogniu, czy też mam zapalić świece w jadalni?

Przestronny, zaciszny hall miał niski belkowany pułap i kamienną posadzkę. Umeblowany był cennymi antykami z poczerniałego dębu, a ogrzewał go (podobnie jak sień w wiejskim dworze) suty ogień, który płonął pod okapem otwartego kominka.

— Dziękuję, Poole, zaczekam tutaj — odpowiedział prawnik.

Przysunął się bliżej kominka i oparł o jego wysoką balustradę. Hall, w którym go zostawiono, był ulubionym miejscem doktora Jekylla, a i pan Utterson nazywał go często najprzyjemniejszym zaciszem Londynu. Dzisiaj jednak adwokat wciąż był przejęty dreszczem grozy, nie mógł wypędzić z pamięci twarzy Hyde'a i — co mu się rzadko zdarzało — odczuwał niesmak i zniechęcenie do życia. Będąc w tak posępnym nastroju, widział groźbę w pełgającym po politurowanych szafach odblasku płomieni i w tajemniczych cieniach zalegających między belkami pułapu. Pan Utterson poczuł znaczną ulgę (chociaż wstyd mu jej było), kiedy Poole wrócił i zameldował, że jego pan wyszedł.

— Doktora Jekylla nie ma w domu? — zdziwił się adwokat. — A przed chwilą widziałem, jak pan Hyde wszedł do starego prosektorium. Wolno mu to robić pod nieobecność gospodarza?

— Wolno, panie mecenasie — odpowiedział służący. — Pan Hyde ma klucz.

— Doktor Jekyll bezgranicznie ufa temu młodemu człowiekowi, prawda? — podjął posępnie przyjaciel pana domu.

— Tak, panie mecenasie. Całej służbie rozkazał, aby słuchała pana Hyde'a.

— Wydaje mi się, że nigdy go tu nie spotkałem — mruknął pan Utterson.

— Bardzo możliwe, panie mecenasie. Pan Hyde nie bywa u nas na obiadach. W ogóle rzadko go widujemy po tej stronie domu. Zawsze wchodzi i wychodzi przez laboratorium.

— Rozumiem. Dobranoc, Poole.

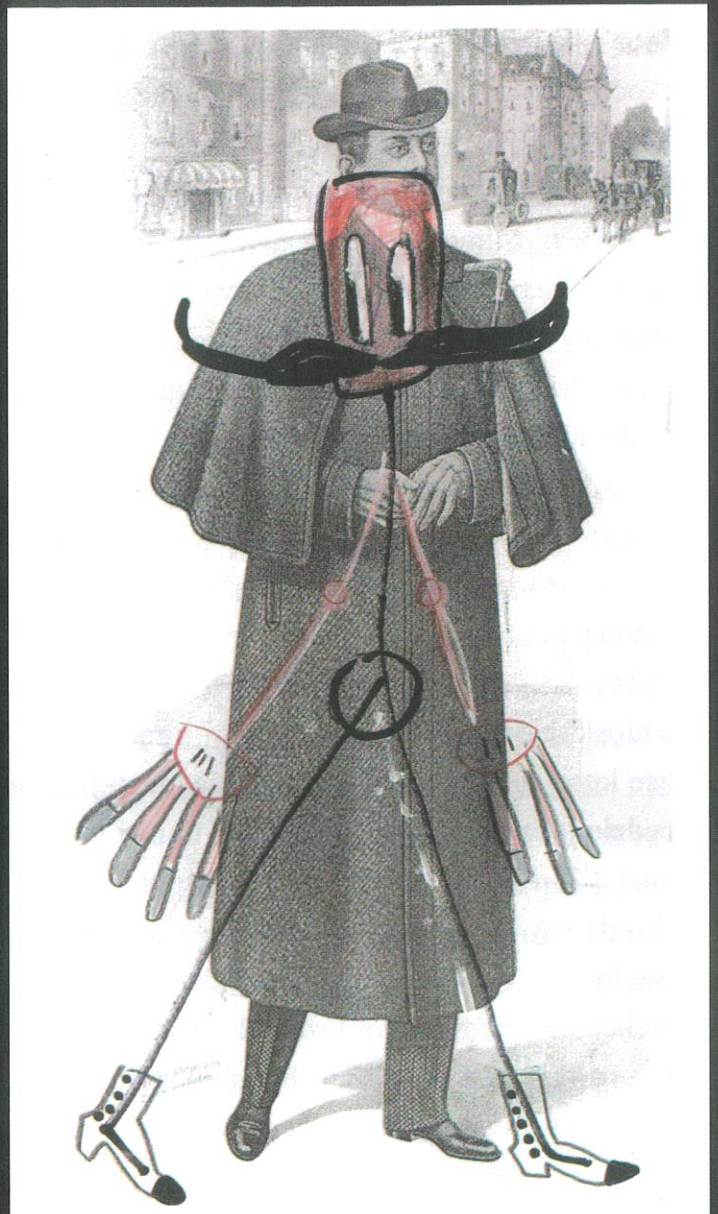
— Dobranoc, panie mecenasie.

Stary prawnik ruszył w powrotną drogę, a serce ciążyło mu w piersi kamieniem.

„Biedny Harry Jekyll! — rozmyślał. — Musiał pogrążyć się głęboko. W dniach młodości był rozhukany, a chociaż to odległa przeszłość, prawo boskie nie zna przedawnienia. Tak to będzie, nie inaczej. Upiór jakiegoś dawnego grzechu, rak tajonej hańby... Hm... kara zbliża się *pede claudo*, chociaż pamięć już wiele lat temu puściła winę w zapomnienie, a miłość własna udzieliła rozgrzeszenia".

Adwokat zląkł się tych rozważań i przez czas pewien błądził we własnych wspomnieniach, sięgając najciemniejszych zakątków. Nie taił przed sobą obawy, że jakiś grzech młodości może wyskoczyć w każdej chwili, niby diablik z pudełka. Przeszłość miał niemal nieskazitelną. Niewiele ludzi mogłoby odczytać swój życiorys z równym spokojem. Mimo to jednak pan Utterson poczuł się prochem z powodu wielu swoich złych postępków i urósł znów we własnych oczach dopiero na myśl o wielu innych, których zdołał uniknąć. Po takim rachunku sumienia wrócił do poprzedniego tematu nie bez iskierki nadziei.

„Warto by przypatrzyć się z bliska szanownemu panu Hyde'owi — snuł rozważania. — Hm, sądząc na oko, ten osobnik musi mieć sekrety, wnioskując z jego wyglądu, sekrety mroczne, wobec których najgorszy uczynek biednego Jekylla będzie jaśniał niczym słońce. Tak dłużej być nie może! Zimno mi się robi na myśl, że ta kreatura skrada się i staje nagle nad łóżkiem Harry'ego. Biedny Harry! Co za przebudzenie! To przecież niebezpieczna historia. Jeżeli Hyde wie o istnieniu testamentu, może mu być pilno do schedy. Tak, tak! Trzeba wtrącić swoje trzy grosze, zabrać się do roboty... — Zasępił się na chwilę. —



Jeżeli, oczywiście, Jekyll mi pozwoli. Jeżeli tylko mi pozwoli..."

Ostatnie zdanie pan Utterson dodał pod wpływem dziwnych punktów testamentu doktora Jekylla, które stanęły mu teraz wyraźnie przed oczyma.



DOKTOR JEKYLL JEST ZUPEŁNIE SPOKOJNY



Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w dwa tygodnie później doktor Jekyll wydał jedną ze swych miłych kolacji dla kilku starych druhów — inteligentnych, szanowanych w mieście dżentelmenów, znawców dobrego wina. Panu Uttersonowi udało się zostać po odejściu innych biesiadników, co nie było trudne, bo już dawniej weszło niejako w zwyczaj. Jeżeli ktoś lubił Uttersona — lubił go naprawdę, toteż gospodarze chętnie zatrzymywali oschłego jurystę, gdy inni goście, weselsi i bardziej wygadani, opuścili ich progi. W dyskretnym jego towarzystwie, w atmosferze bogatego w treść milczenia trzeźwieli duchowo po trudach wesołej zabawy, wprawiając się do samotności. Doktor Jekyll nie stanowił wyjątku od tej reguły, kiedy więc zasiadł przed kominkiem naprzeciw starego przyjaciela, widać było, iż darzy go szczerą, gorącą sympatią. Mówił o tym wyraz twarzy i oczu tego rosłego, dobrze zbudowanego pięćdziesięcioletniego mężczyzny o gładko ogolonej twarzy i minie być może nieco przebiegłej, lecz zdradzającej niepośledni intelekt i głęboką dobroć.

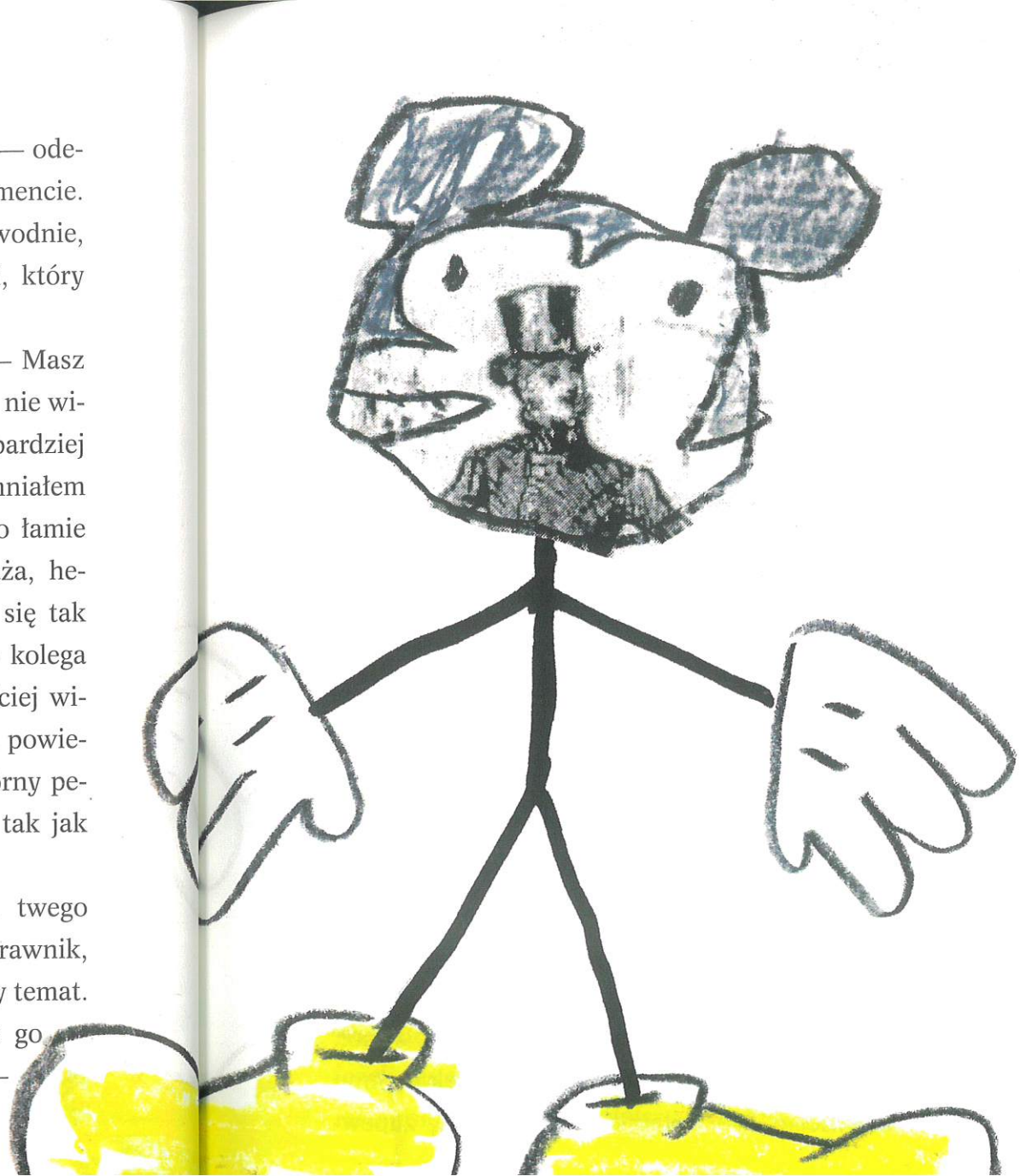
— Chciałbym pogadać z tobą, Jekyll — odezwał się adwokat. — O tym twoim testamencie.

Bystry obserwator dostrzegłby niezawodnie, że temat nie był w smak gospodarzowi, który wszelako podjął go żartobliwie.

— Biedny Utterson! — westchnął. — Masz pecha, że trafił ci się taki klient. Jak żyję, nie widziałem człowieka zatroskanego czymś bardziej niż ty moją ostatnią wolą. Aha, zapomniałem o tym zacofanym pedancie Lanyonie, co łamie ręce nad moimi, jak się łaskawie wyraża, herezjami naukowymi. Nie przyglądaj mi się tak spode łba. Wiem, że z niego doskonały kolega i złote serce. Od dawna pragnę go częściej widywać. Ale mimo wszystko to zacofany, powiedziałbym nawet, ograniczony i gruboskórny pedant. Nikt nigdy nie rozczarował mnie tak jak stary, poczciwy Lanyon.

— Od początku nie pochwalałem twego kroku. Dobrze o tym wiesz — podjął prawnik, puszczając mimo uszu świeżo rozpoczęty temat.

— Mowa o testamencie? Wiem, że go nie pochwalasz. Nigdy tego nie taiłeś — odparł dość szorstko doktor.



— I nie myślę taić. Ostatnio zapoznałem się po trosze z twoim panem Hyde'em.

Okrągła, przystojna twarz gospodarza pobielała; wargi zsiniały, a pod oczyma ukazały się głębokie cienie.

— Nie chciałbym o tym więcej słyszeć — rzucił doktor Jekyll. — O ile sobie przypominam, umówiliśmy się, że to temat zamknięty.

— Dowiedziałem się potwornych rzeczy...

— Które nic nie mogą zmienić — dokończył lekarz tonem żywego wzburzenia. — Nie rozumiesz mojej sytuacji. Jest bolesna i niecodzienna, Utterson. Naprawdę niecodzienna. Słowa tu nic nie pomogą.

— Posłuchaj, Henryku! — wybuchnął adwokat. — Znasz mnie. Jestem człowiekiem godnym zaufania. Powiedz wszystko szczerze, a nie wątpię, że zdołam cię wyciągnąć z biedy.

— Poczciwy, zacny przyjacielu — odparł gospodarz. — Jestem ci wdzięczny, niewymownie wdzięczny. Doprawdy, braknie mi słów podzięki. Wierzę ci bez zastrzeżeń. Gdybym miał wybór, wolałbym zaufać tobie niż komukolwiek innemu na świecie, nie wyłączając siebie. Ale, zapewniam cię, moja sprawa różni się bardzo od twoich o niej wyobrażeń. Nie jest aż taka kiepska. Wyznam ci coś, bo pragnę uspokoić twoje życzliwe serce. W każdej chwili, kiedy zechcę, mogę uwolnić się od pana Hyde'a. Ręczę za prawdę tych słów, Utterson. Masz moje słowo! Jeszcze raz dziękuję ci serdecznie i dodam coś, czego na pewno nie weźmiesz mi za złe. To moja czysto osobista sprawa i zaklinam cię, nie powracajmy do niej nigdy.

Adwokat milczał, zapatrzony w ogień.

— Cóż — powiedział wreszcie, dźwigając się z fotela. — Nie wątpię, że masz zupełną słuszność.

— Ponieważ jednak poruszyliśmy tę kwestię, po raz ostatni, mam nadzieję — podjął doktor Jekyll — chciałbym ci jeszcze coś wytłumaczyć. Biedny Hyde żywo mnie interesuje. Wiem, żeś się z nim spotkał. Sam mi o tym powiedział. Obawiam się, że był niegrzeczny, gburowaty. Ale, wierz mi, to młody człowiek, na którym mi zależy, niezmiernie zależy, Utterson. Dlatego będę ci wdzięczny, jeżeli mi obiecasz, że kiedy mnie zabraknie, zajmiesz się nim i wprowadzisz go w słuszne prawa.

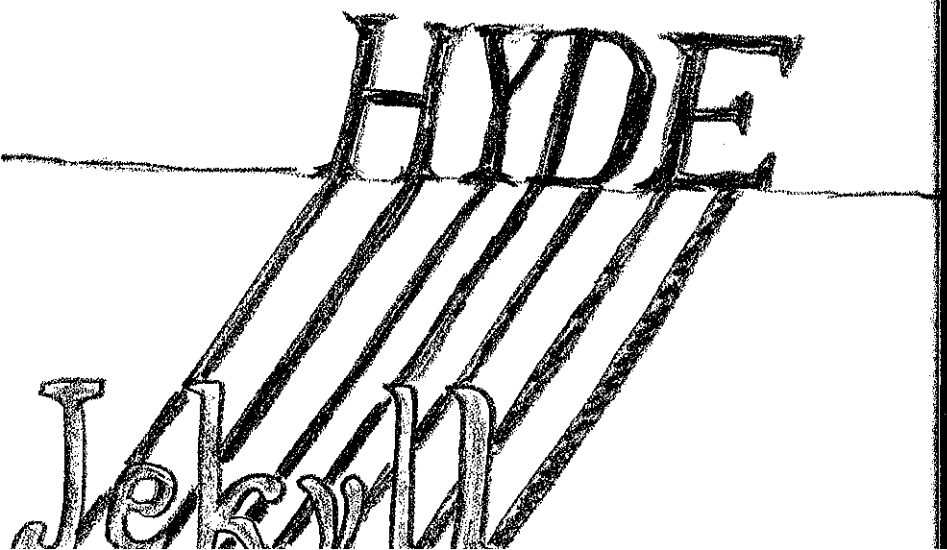
Sądzę, że postąpiłbyś tak niewątpliwie, gdyby ci wszystko było wiadome, a twoja obietnica zdejmie mi znaczny ciężar z serca.

— Nie mogę udawać, że zdołam go kiedykolwiek polubić — odparł pan Utterson.

— Wcale się tego nie domagam — odparł lekarz, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela. — Proszę tylko o zwykłą sprawiedliwość, o pomoc dla niego przez wzgląd na mnie, kiedy już stąd odejdę.

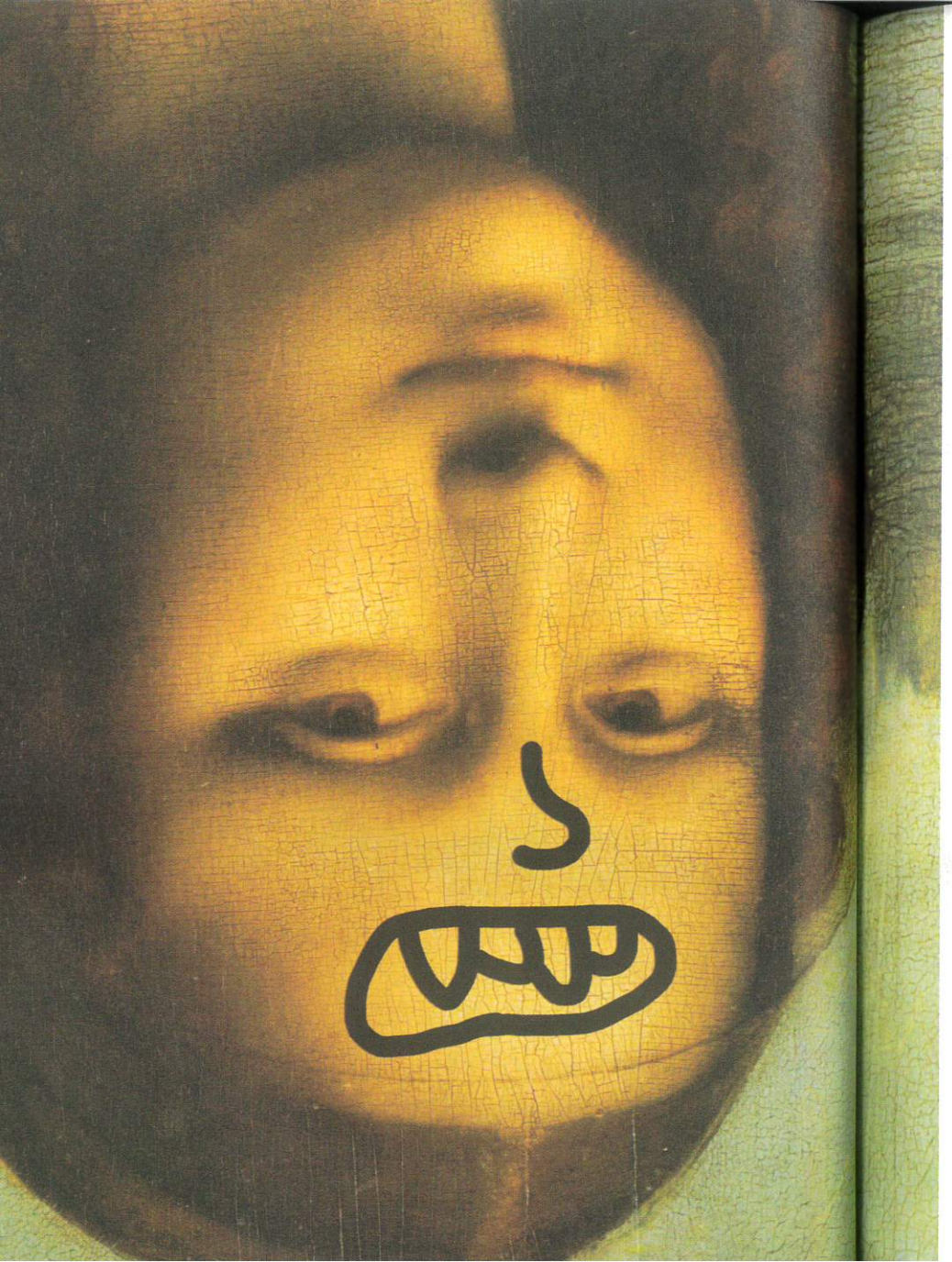
Adwokat nie mógł powstrzymać westchnienia.

— To ci przyrzekam — powiedział.





MORDERSTWO SIR DANVERSA CAREW



Minęło wiele miesięcy. W październiku roku 18[redacted] bestialska zbrodnia wstrząsnęła Londynem i nabrała rozgłosu dzięki wysokiej pozycji społecznej ofiary. Nieliczne szczegóły były zdumiewające. Młoda służąca, zamieszkała chwilowo samotnie w pewnym domu niedaleko rzeki, poszła do swego pokoju na piętrze około godziny jedenastej wieczorem. Po zachodzie słońca ciężkie tumany mgieł przetoczyły się nad miastem, później jednak chmury ustąpiły i pełnia księżyca jasno oświecała uliczkę widoczną z okna. Dziewczyna miała zapewne romantyczne usposobienie, gdyż siadła na swym kuferku stojącym w okiennej wnęce i zapadła w pół drzemkę, pół zadumę. Nigdy (jak często ze łzami w oczach opowiadała o swych przeżyciach), nigdy nie czuła się bardziej w zgodzie z całym światem i nie myślała życzliwiej o bliźnich. Siedząc tak, zobaczyła, że wytworny, bardzo piękny starzec o białych jak mleko włosach zbliża się uliczką, naprzeciw zaś niego idzie mężczyzna bardzo niskiego wzrostu, na którego zrazu zwróciła mniej uwagi. Spotkanie nastąpiło

tuż pod oknem służącej. Starzec ukłonił się i z nader uprzejmym gestem zagadnął drugiego przechodnia. Dziewczyna odniosła wrażenie, że nie chodziło o ważną kwestię, a gesty starego pana wskazywały, że zapewne pyta o drogę. W tej chwili księżyc oświetlił go jasno. Twarz starca była szczególnie ujmująca. Miała wyraz łagodnej, staroświeckiej uprzejmości, a zarazem dziwnej powagi, jak gdyby opartej na słusznym szacunku dla samego siebie. Obserwatorka przeniosła wzrok na drugiego mężczyznę i ze zdziwieniem poznała w nim niejakiego Hyde'a, który odwiedził niegdyś dom jej chlebodawcy i wzbudził w niej gwałtowną niechęć. Pan Hyde nie odpowiadał, lecz ze źle ukrywanym zniecierpliwieniem słuchał słów sędziwego pana i bawił się ciężką laską, którą trzymał w ręku. Nagle wpadł w furię. Zaczął tupać, wymachiwać laską i, jak to określiła dziewczyna, zachowywać się niczym obłąkaniec. Starzec cofnął się zdziwiony i urażony grubiaństwem. Wtedy Hyde uniósł laskę i potężnym ciosem obalił go na ziemię. Potem jak rozjuszona małpa skoczył na ofiarę i depcąc ją nogami, tłukł raz po raz, aż słychać było chrzęst łamanych kości. Ciało zsunęło się na jezdnię. Na ten okropny widok dziewczyna zemdlała.

O drugiej nad ranem odzyskała przytomność i wezwała policję. Morderca uszedł już dawno. Na środku uliczki leżały straszliwie zmasakrowane zwłoki. Laska — chociaż zrobiona z jakiegoś cennego drewna, ciężkiego i twardego — pękła na dwoje w rękach szaleńca. Jedna jej połowa potoczyła się do pobliskiego rynsztoka, drugą niewątpliwie uniósł zabójca. W kieszeniach ofiary znaleziono sakiewkę i złoty zegarek, nie było tam wszakże kart wizytowych ani dokumentów oprócz zapieczętowanej koperty adresowanej do pana Uttersona.

Adwokat miał zapewne tę przesyłkę otrzymać pocztą, lecz policja doręczyła mu ją nazajutrz rano, zanim jeszcze zdążył wstać z łóżka. Kiedy przeczytał list i usłyszał, co się stało, twarz mu spochmurniała.

— Nie powiem nic przed obejrzeniem ciała — rzekł. — Sprawa może być poważniejsza, niż się wydaje. Zechcą panowie zaczekać na mnie chwilę. Wnet się ubiorę.

Z grobową miną zjadł śniadanie i bez słowa pozwolił zawieźć się do komisariatu policji, gdzie tymczasem dostarczono ciało. Wszedłszy do kostnicy, smutno pokiwał głową.

— Tak — powiedział z głębokim żalem. — Poznaję go. To sir Danvers Carew.

— Wielki Boże! — zawołał policjant. — Czy to możliwe? — Niebawem jednak rozpogodził się pod wpływem połechtanej ambicji zawodowej. — Sprawa narobi ładnego hałasu. Czy pan mecenas mógłby nam pomóc w odnalezieniu mordercy?

Następnie streścił pobieżnie opowiadanie służącej i pokazał złamaną laskę.

Prawnik wzdrygnął się, gdy po raz pierwszy usłyszał nazwisko Hyde'a, lecz widok ułamanego kija rozproszył niezwłocznie wszelkie wątpliwości, bo pan Utterson łatwo rozpoznał laskę, którą sam przed laty ofiarował doktorowi Jekyllowi.

— Czy ów Hyde to osobnik niskiego wzrostu? — zapytał.

— Jest bardzo drobny i wygląda szczególnie odpychająco. Tak przynajmniej zeznaje służąca — odrzekł policjant.

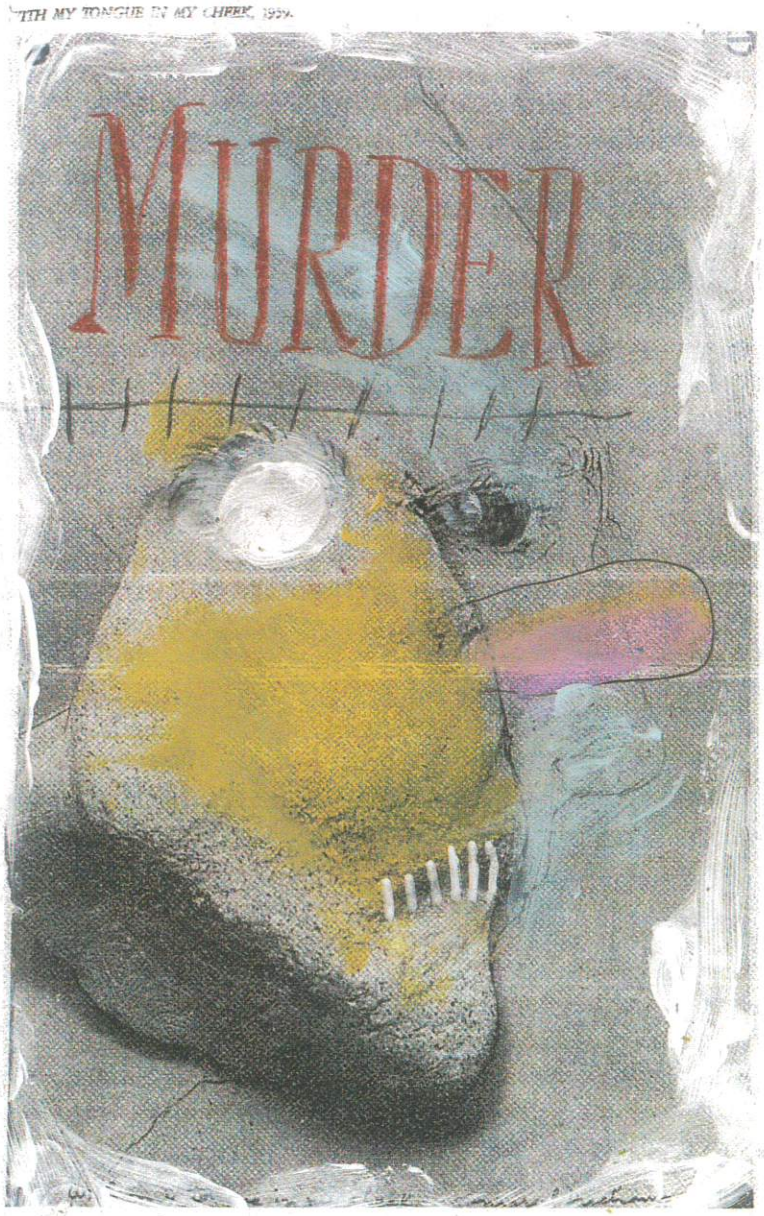
Adwokat zamyślił się na moment, wnet jednak podniósł głowę i rzucił stanowczym tonem:

— Jeżeli zechce mi pan towarzyszyć, możemy zaraz jedną dorożką jechać do domu tego człowieka.

Dochodziła dziewiąta rano. Pierwsza mgła jesienna zaczynała spowijać miasto. Z nieba spływały tumany czekoladowej barwy, ponieważ jednak wiatr szarpał je i rozpraszał nieustannie, pan Utterson oglądał z wlokącej się dorożki wszelkie odcienie półmroku. Na jednej ulicy było ciemno, jak późnym wieczorem, inna jaśniała intensywną, czerwonobrązową barwą jak łuną dziwnej pożogi, na kolejnej — kiedy nagły podmuch rozwiał mgłę — mizerny

odblask dnia bielił kudłate strzępy oparów. W zmieniającej się wciąż grze świateł i cieni nędzna dzielnica Soho przedstawiała ponury widok. Błotniste uliczki, obdarci przechodnie, latarnie, których nie zgaszono nad ranem lub zapalono je na nowo, żeby odeprzeć tę ponowną inwazję ciemności — wszystko to w oczach prawnika składało się na obraz widmowego miasta z koszmaru. Ponadto pan Utterson miał głowę pełną najczarniejszych myśli, a gdy spoglądał z ukosa na towarzysza przejażdżki, odczuwał mimowolny lęk przed prawem i jego sługami — strach, który nawiedza niekiedy nawet najuczciwszych ludzi.

Kiedy dorożka stanęła pod wskazanym adresem, mgły uniosły się nieco i ukazały obskurną uliczkę, szynk ostatniego rzędu, francuską garkuchnię i stragan z kanapkami za pensa i sałatkami po dwa pensy porcja. Hordy dzieci w łachmanach siedziały na progach domów, a kobiety różnych narodowości, każda z kluczem w ręku, śpieszyły do szynku, aby rozpocząć dzień od dżinu. Po chwili brunatny tuman zgęstniał znów i przesłonił obrazy życia nędzarzy. W takiej



oto dzielnicy mieszkał faworyt doktora Henryka Jekylla, przyszły dziedzic ćwierci miliona funtów.

Drzwi otworzyła stara kobieta o cerze koloru kości słoniowej i srebrzystych włosach. Miała twarz obłudnej jędzy, zachowywała się jednak układnie. Tak, pan Edward Hyde mieszka tutaj, ale nie ma go w domu. Tej nocy przyszedł nad ranem, lecz nie zabawił nawet godziny. Nie było w tym nic osobliwego, bo pan Hyde ma bardzo dziwne zwyczaje. Na przykład ostatnio nie widziała go przez blisko dwa miesiące.

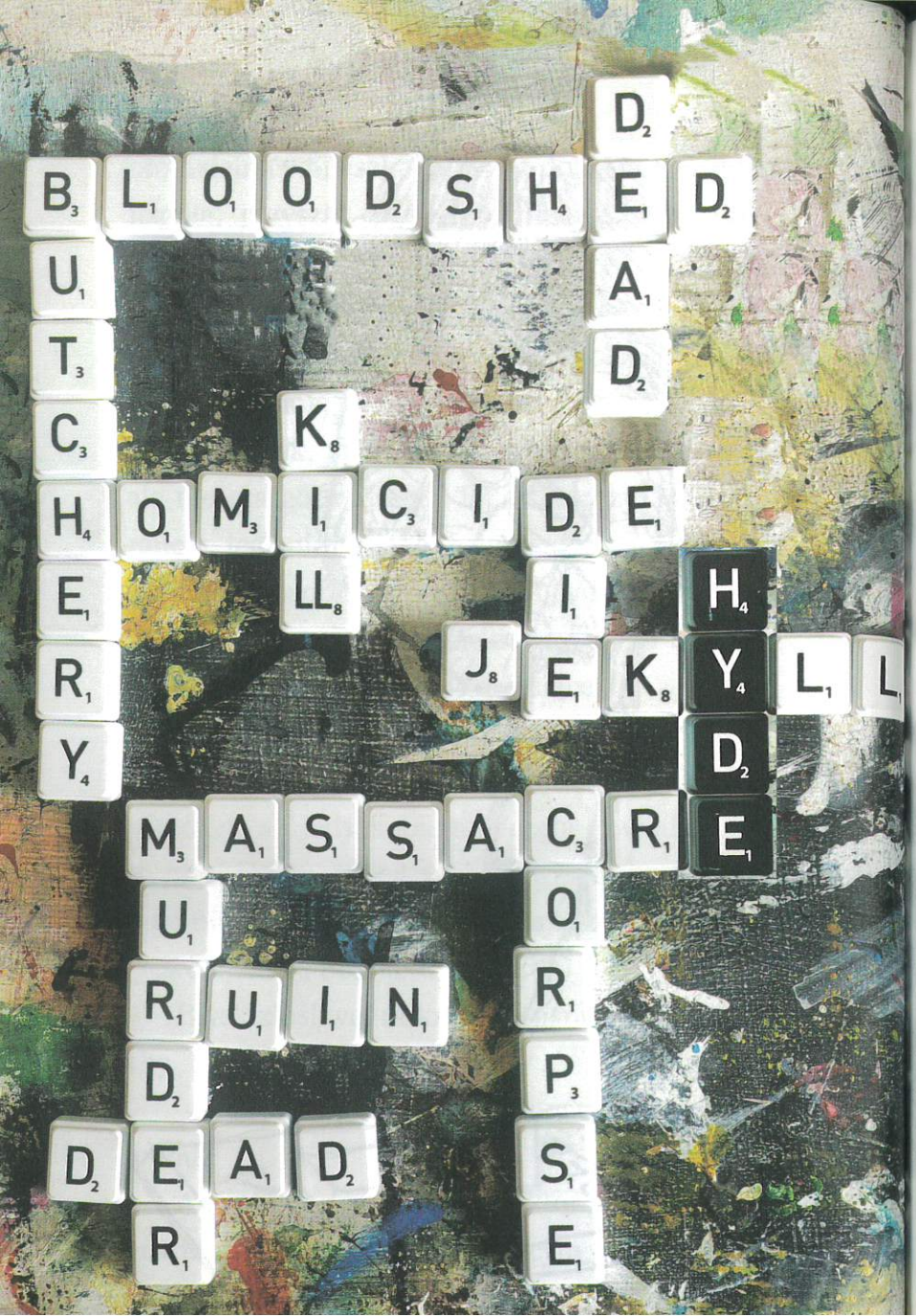
— Aha, dziękujemy. W takim razie chcielibyśmy zobaczyć jego mieszkanie — powiedział adwokat, a kiedy kobieta zaczęła dowodzić, że to niemożliwe, rzucił suchym tonem: — Wobec tego nie będę taił, kto mi towarzyszy: inspektor Newcomen ze Scotland Yardu.

Błysk złośliwej radości rozjaśnił twarz staruchy.

— A! Wpadł nareszcie! — zawołała. — Co zrobił?

Adwokat zerknął na inspektora, ten zaś odpowiedział mu równie znaczącym spojrzeniem.





— Widzę, że ten ptaszek nie cieszy się zbytnią sympatią — mruknął i dodał zaraz pod adresem gospodyni: — A teraz, dobra kobieto, wpuśćcie nas do mieszkania. Musimy zobaczyć, jak tu wygląda.

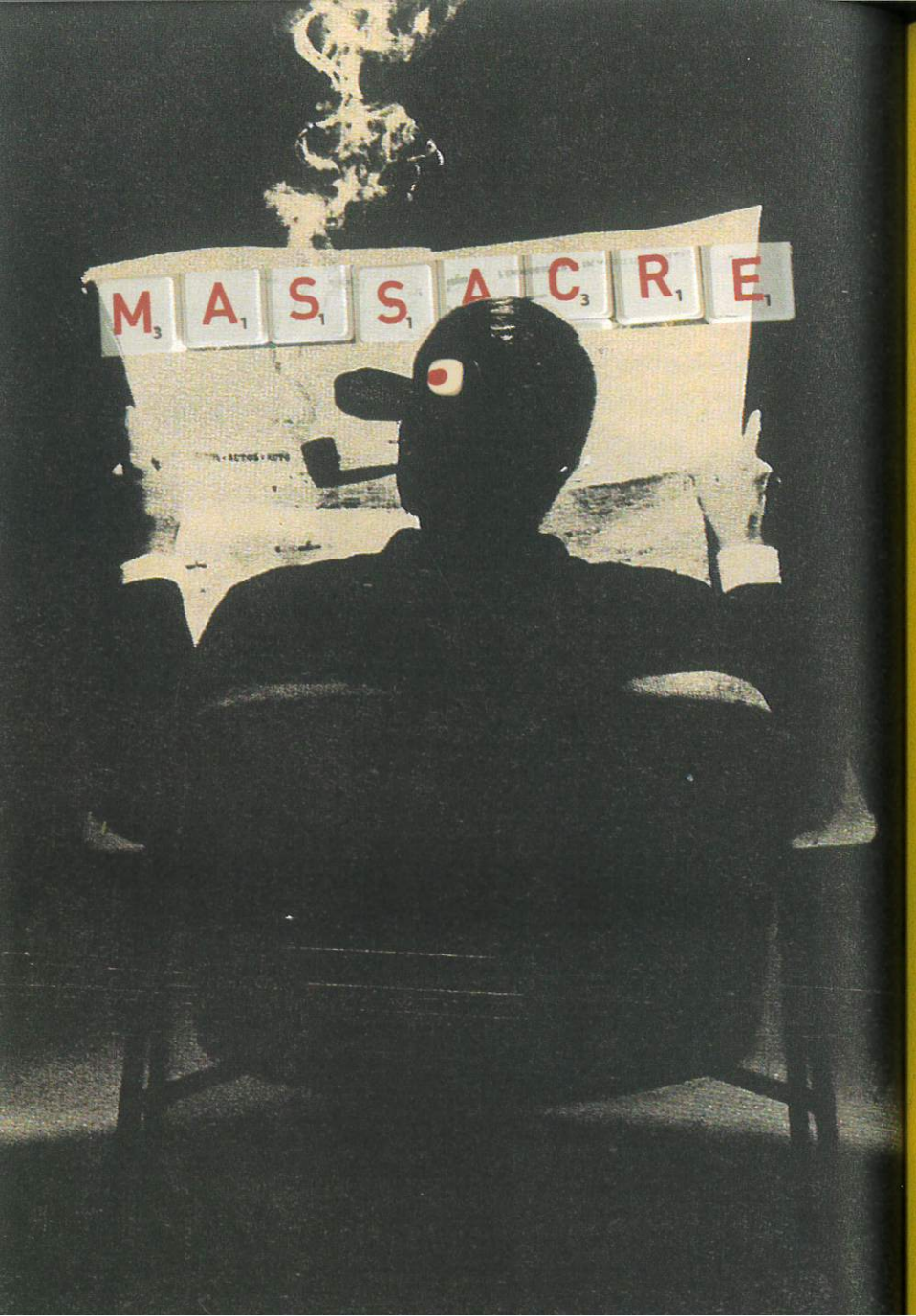
Obszerny dom ział pustką. Na stałe nie mieszkał w nim nikt prócz owej starej kobiety, a pan Hyde zajmował tylko dwa pokoje, urządzone jednak bogato i z nader dobrym smakiem. Butelki dobrych win wypełniały kredens, zastawa była srebrna, obrusy i serwety w znakomitym gatunku, dywany pastelowych odcieni grube i puszyste. Na ścianie wisiał cenny obraz, dar (jak przypuszczał pan Utterson) doktora Jekylla, wielkiego miłośnika i znawcy sztuki. Obecnie jednak te zbytkowne wnętrza wyglądały jak gdyby splądrowane niedawno i pośpiesznie. Ubrania z powywracanymi kieszeniami leżały na podłodze. Szuflady były otwarte, a spory stos szarych popiołów dowodził, że w kominku spalono wiele papierów. Z popiołu inspektor wygrzebał grzbiet zielonej książeczki czekowej, który oparł się jakoś płomieniom. Druga część złamanej laski stała za uchylonymi drzwiami, co oczywiście

ugruntowało podejrzenia i niezmiernie ucieszyło Newcomena. Ale radość jego ukoronowała dopiero wizyta w banku, gdzie zbrodniarz miał na koncie kilka tysięcy funtów.

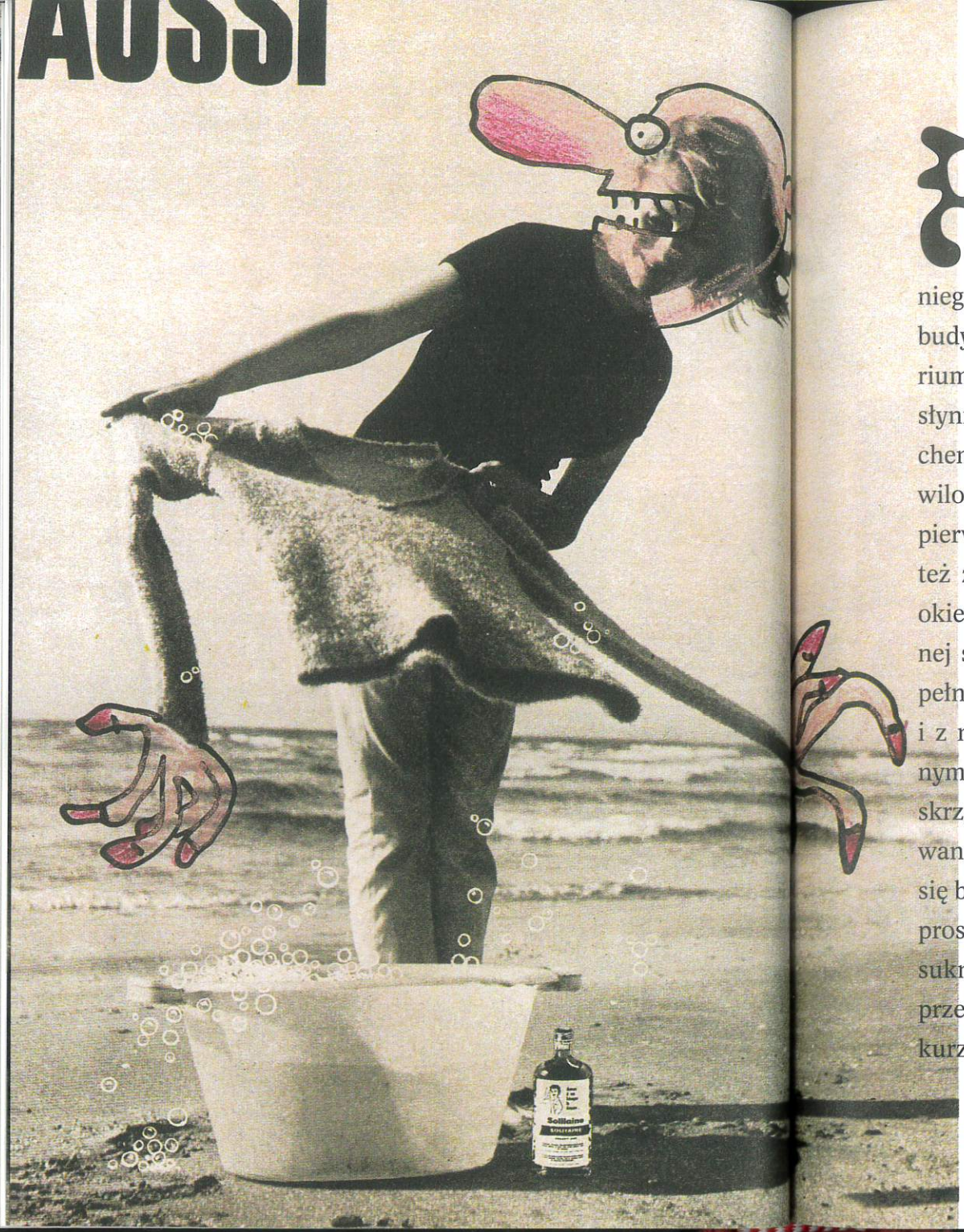
— Panie mecenasie! — zawołał policjant. — Sprawa prosta! Mamy go w ręku! Musiał zupełnie stracić głowę, bo inaczej nie zostawiłby laski, a przede wszystkim nie spaliłby książeczki czekowej. Rozumie pan? Pieniądze to nerw życia. Teraz nic nie trzeba robić, tylko czekać na niego w banku i rozesłać listy gończe.

Ale sprawa nie była aż tak prosta, gdyż Edward Hyde nie miał przyjaciół ani znajomych (nawet pan młodej służącej, naocznego świadka morderstwa, widział go ledwie dwa razy), nie można było nigdzie wytropić jego rodziny ani znaleźć fotografii, a nieliczne osoby, które mogłyby go opisać, bardzo różniły się w szczegółach, jak to najczęściej w podobnych przypadkach bywa. Tylko pod jednym względem godzili się wszyscy: zbiegły morderca sprawia wrażenie kaleki, lecz ułomności jego niepodobna było określić.





LIST
MORDERCY



Późnym popołudniem pan Utterson zastukał do drzwi doktora Jekylla. Poole otworzył mu zaraz. Przez kuchenny korytarz i podwórko, które niegdyś było ogrodem, zaprowadził gościa do budynku zwanego prosektorium albo laboratorium. Doktor kupił ten dom od spadkobierców słynnego chirurga, a że bardziej interesował się chemią niż anatomią, zmienił przeznaczenie pawilonu w głębi ogrodu. Stary prawnik był po raz pierwszy w tej części rezydencji przyjaciela, toteż zerkał ciekawie na dziwaczną budowlę bez okien. Kiedy zaś wszedł do posępnej amfiteatralnej sali (dziś wyludnionej, lecz w swoim czasie pełnej żądnych wiedzy studentów), podejrzliwie i z niesmakiem przyglądał się stołom zastawionym wszelkiego rodzaju aparaturą chemiczną, skrzyniom na podłodze, zasłanej słomą do pakowania, pociemniałej kopule, przez którą sączyło się blade światło. W głębi dawnego prosektorium proste schody wiodły do obitych czerwonym suknem drzwi gabinetu doktora Jekylla. Był to przestronny pokój o trzech zakratowanych i zakurzonych oknach wychodzących na zaułek. Pod

ścianami stały oszklone szafki, a z mebli pan Utterson zwrócił przede wszystkim uwagę na duże tremo i zwykły stół biurowy. Suty ogień płonął na kominku, nad nim zaś na półce stała zapalona lampa, bo gęstniejąca wciąż mgła przenikała nawet do wnętrza domów. Doktor Jekyll siedział przy ogniu. Sprawiał wrażenie człowieka śmiertelnie chorego. Na widok przyjaciela nie wstał, lecz podał mu lodowatą rękę i zmienionym głosem wyrzekł kilka słów powitania.

— I cóż? Słyszałeś nowinę? — zagaił rozmowę prawnik, kiedy drzwi zamknęły się za kamerdynerem.

— Gazeciarze wrzeszczeli o niej na placu — wzdrygnął się doktor. — Słyszałem z okien mojej jadalni.

— Przede wszystkim, Henryku — podjął pan Utterson — Carew był moim klientem, ty jesteś nim również. Chcę wiedzieć, jak mam postępować. Nie oszalałeś chyba i nie ukrywasz zbrodniarza?

— Utterson! Zaklinam się na wszystko, co święte, przysięgam w obliczu Boga, że póki życia, nie spojrzę na tego człowieka. Ręczę ci ho-



norem, że skończyłem z nim raz na zawsze, ostatecznie! Wszystko przeszło, minęło. A zresztą on wcale nie chce mojej pomocy. Ty nie znasz go tak dobrze jak ja. Nie jest groźny, w żadnym razie. Zapamiętaj sobie moje słowa: świat nigdy więcej o nim nie usłyszy.

Adwokat słuchał nachmurzony. Nie podobało mu się gorączkowe podniecenie przyjaciela.

— Widzę, że masz do niego zaufanie — rzekł wreszcie. — Hm, przez wzgląd na ciebie mam nadzieję, że się nie mylisz. Gdyby jednak doszło do procesu, wypłynęłoby twoje nazwisko.

— Tak, jestem najzupełniej spokojny i mam po temu racje, których z nikim nie mogę dzielić — odparł doktor Jekyll. — Chciałbym jednak poradzić się ciebie w pewnej kwestii. Widzisz, mam... otrzymałem list i zachodzę w głowę, czy powiedzieć o tym policji. Ale najlepiej przekażę ten list tobie i zdam się na twój rozumny osąd. Do nikogo na świecie nie mam większego zaufania.

— Obawiasz się zapewne, że list może ułatwić pochwycenie mordercy? — zapytał adwokat.

— Nie — brzmiała zdecydowana odpowiedź. — A zresztą nie obchodzą mnie dalsze losy Hyde'a. Skończyłem z nim raz na zawsze. Dbam tylko o własną opinię, nie chciałbym być wmieszany w tę ohydną sprawę.

Pan Utterson zadumał się na chwilę. Był trochę zdziwiony samolubstwem doktora, zarazem jednak doświadczył pewnej ulgi.

— Dobrze — powiedział wreszcie. — Pokaż no mi ten list.

Charakter pisma był dziwaczny, litery proste. U dołu kartki widniał podpis „Edward Hyde". Morderca donosił zwięźle, że rozporządza najzupełniej pewnym, niezawodnym sposobem ucieczki, a jego dobrodziej, doktor Henryk Jekyll, któremu od dawna tak niegodnie odpłaca za tysiączne łaski, może nie obawiać się o jego skórę. List rzucał na tę zażyłość światło lepsze, niż należało oczekiwać, toteż staremu prawnikowi wstyd się zrobiło niektórych dawnych podejrzeń.

— Masz kopertę? — zapytał.

— Nim pomyślałem, co robię, zdążyłem ją spalić — odrzekł doktor Jekyll. — Ale i tak nie

miała stempla pocztowego. List doręczył posłaniec.

— Czy mam zabrać ten dokument i przechować bezpiecznie? — padło znów pytanie.

— Rób, jak chcesz. Przestałem sobie ufać.

— Hm, muszę się zastanowić — powiedział pan Utterson. — A teraz, Jekyll, jeszcze jedno. To Hyde podyktował warunki testamentu, prawda? Chodzi mi o klauzulę o niewyjaśnionym zniknięciu.

Doktor wzdrygnął się, jak gdyby był bliski omdlenia, zacisnął blade wargi i bez słowa skinął głową.

— Wiedziałem — mruknął adwokat. — Oczywiście zamierzał cię zamordować. Cudem się wywinąłeś.

— To jeszcze nie wszystko, Utterson! To nie wszystko! Dostałem również nauczkę. O Boże! — jęknął doktor i na moment ukrył twarz w dłoniach. — Dostałem straszną, potworną nauczkę!

Wychodząc z domu przyjaciela, stary prawnik zmarudził chwilę i zamienił kilka słów z kamerdynerem.

— Aha, dobrze, że sobie w porę przypomniałem — zagadnął go. — Ktoś przyniósł dzisiaj list. Co to był za posłaniec?

Ale Poole odpowiedział stanowczo, że nie odbierał żadnej korespondencji prócz kilku okólników nadesłanych pocztą.

Niespodziewana wiadomość odnowiła najgorsze obawy pana Uttersona. Niewątpliwie list trafił do domu przez drzwi laboratorium, a może nawet został napisany w gabinecie. Jeżeli było tak istotnie, całą sprawę należało głębiej przemyśleć i potraktować z wielką ostrożnością. W powrotnej drodze adwokat spotykał licznych gazeciarzy, którzy uganiając się po chodnikach, chrypli od wrzasku: „Dodatek nadzwyczajny! Bestialskie morderstwo członka Parlamentu!".

Oto podzwonne jego klientowi i przyjacielowi. Pan Utterson nie mógł opędzić się od trwogi, że dobre imię innego zostanie wciągnięte w wir plugawego skandalu. Stary prawnik musiał powziąć ważną i drażliwą decyzję, toteż choć zazwyczaj polegał na własnym zdaniu, odczuł potrzebę rozumnej rady. O radę taką nie myślał jednak prosić wyraźnie: chciał ją złowić mimochodem.

Wkrótce zasiadł wygodnie przed swoim kominkiem, a po drugiej stronie, naprzeciwko pracodawcy, zajął miejsce pan Guest, pierwszy dependent. Pomiędzy nimi, w odpowiedniej odległości od ognia, stała flaszka bardzo starego wina, które przez lata dojrzewało w mrocznej piwnicy domu pana Uttersona. Leniwa mgła spowijała nadal skrzydłami ociekający wilgocią Londyn, latarnie błyszczały niczym karbunkuły. Mimo chmur opadających na ziemię odgłosy sunącego głównymi arteriami wielkomiejskiego życia dały się słyszeć niby szum potężnego wichru. Ale w pokoju płonął jasny, wesoły ogień. We flaszce młode kwasy stopniały od dawna, a szlachetny płyn zmienił cesarską purpurę na łagodniejszy odcień czerwieni, podobnie jak witraże z upływem czasu nabierają głębszej barwy. Czar gorących jesiennych dni na porosłych winoroślą słonecznych wzgórzach dobywał się na wolność i rozpraszał gęste mgły Londynu. Stary prawnik rozpogadzał się bezwiednie. Nie było na świecie człowieka, przed którym miałby mniej tajemnic niż przed swoim dependentem; prawdę rzekłszy, nie wiedział, ile zamierzonych sekretów zdo-

łał przed nim ustrzec. Guest często w ważnych sprawach odwiedzał doktora Jekylla, znał Poole'a, musiał słyszeć o dziwnym zadomowieniu pana Hyde'a, niewątpliwie zatem wyciągał jakieś wnioski. Czy wobec tego nie będzie najrozsądniej pokazać list zaufanemu pomocnikowi? Guest, znawca i wytrawny sędzia charakterów pisma, będzie tym mile połechtany. A zresztą to człowiek z głową na karku, więc trudno sobie wyobrazić, by po przeczytaniu osobliwego dokumentu nie rzucił roztropnej uwagi, która może posłużyć za drogowskaz na przyszłość.

— Smutna sprawa z tym sir Danversem Carew — rozpoczął pan Utterson.

— Istotnie, panie mecenasie — zgodził się Guest. — Wzbudziła powszechny żal. Mordercą jest niewątpliwie wariat.

— Właśnie w tej kwestii pragnąłbym usłyszeć pańskie zdanie. Mam dokument skreślony ręką tego człowieka. Oczywiście to ściśle między nami, bo dotąd jeszcze nie wiem, jak postąpię. Cała historia jest co najmniej paskudna. Ale oto list. Autograf zbrodniarza powinien pana zainteresować.

Dependentowi oczy zajaśniały. Zerwał się z fotela, lecz zaraz usiadł i wziął się do wnikliwej lektury listu pana Hyde'a.

— Nie, panie mecenasie, ten człowiek nie jest szalony — orzekł wreszcie — ale ma dziwny, bardzo dziwny charakter pisma.

— I to nie tylko pisma — uzupełnił adwokat.

W tej chwili do pokoju wszedł służący z listem.

— Czy to nie od doktora Jekylla? — zapytał pan Guest. — Zdawało mi się, że poznałem jego pismo. Coś poufnego, panie mecenasie?

— Skąd znowu! Tylko zaproszenie na kolację. Chce je pan przeczytać?

— Poproszę na momencik. Bardzo dziękuję, panie mecenasie.

Z tymi słowy dependent położył kartki papieru jedną obok drugiej i jął je pilnie porównywać.

— Dziękuję — odezwał się po chwili, zwracając listy pracodawcy. — Doprawdy, panie mecenasie, wyjątkowo interesujące autografy.

Zapanowała cisza. Pan Utterson prowadził jakąś wewnętrzną walkę, potem zapytał nagle:

— Panie Guest, dlaczego porównywał pan te listy?

— Ponieważ, panie mecenasie — odparł zagadnięty — dostrzegłem zdumiewające podobieństwa. Niektóre litery są niemal identyczne, tylko pisane inaczej pochylonym piórem.

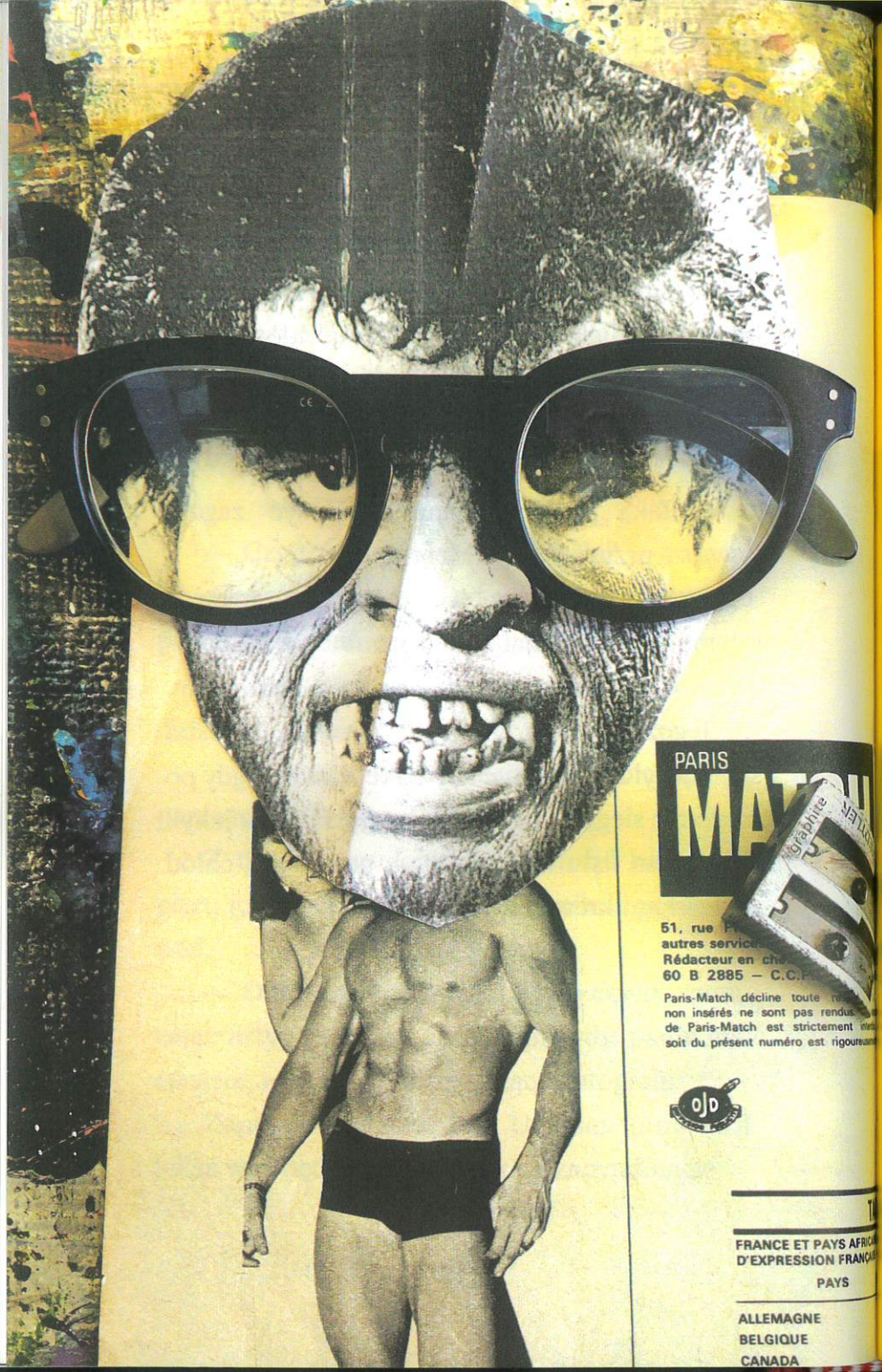
— Zagadkowa historia — mruknął pan Utterson.

— Tak, panie mecenasie. Dosyć zagadkowa — przyznał dependent.

— Wie pan, nie wspominałbym nikomu o tym liście — podjął adwokat.

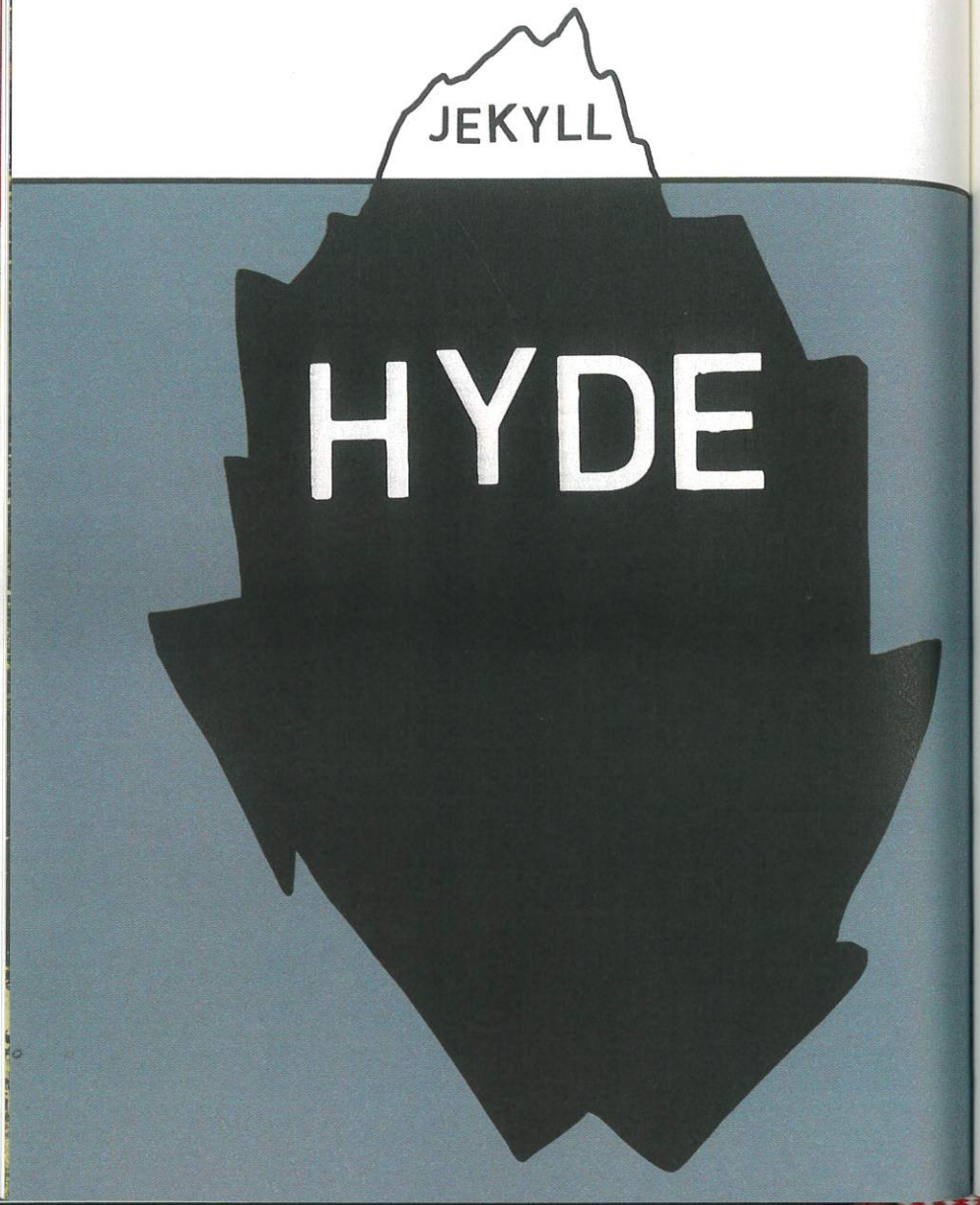
— Oczywiście, panie mecenasie. Rozumiem.

Tegoż wieczora, gdy stary prawnik pozostał sam, ukrył list w sejfie, aby od tej chwili nigdy po niego nie sięgać. „Nic nie pojmuję. Henryk Jekyll fałszerzem listu mordercy" — pomyślał i chłód zmroził mu krew w żyłach.



PARIS
MA
51, rue
autres service
Rédacteur en ch
60 B 2885 — C.C.
Paris-Match décline toute
non insérés ne sont pas rendus
de Paris-Match est strictement
soit du présent numéro est rigoureu
OJD
T
FRANCE ET PAYS AFRIC
D'EXPRESSION FRANÇ
PAYS
ALLEMAGNE
BELGIQUE
CANADA

OSOBLIWY PRZYPADEK DOKTORA LANYONA



Dni mijały. Za ujęcie mordercy wyznaczono nagrodę w kwocie kilku tysięcy funtów, bo śmierć sir Danversa została uznana za zbrodnię stanu. Ale pan Hyde był nieuchwytny dla policji i przepadł tak, jak gdyby nigdy nie istniał. Na światło dzienne wychodziły pewne szczegóły z jego przeszłości — zawsze haniebne. Opowiadano dziwy o jego okrucieństwach, zimnych zarazem i namiętnych, o niecnym życiu, kompanach spod ciemnej gwiazdy i nienawiści, którą budził wokół siebie. Nikt jednak nie pisnął słówkiem o aktualnym miejscu pobytu zbrodniarza. Zniknął z powierzchni ziemi od chwili, gdy bezpośrednio po morderstwie odwiedził nad ranem swoje mieszkanie w Soho.

Stopniowo, z biegiem czasu, pan Utterson uspokajał się, otrząsał z przerażenia i grozy. Według niego zniknięcie pana Hyde'a okupiło z nawiązką zgon sir Danversa Carew; wraz z ustąpieniem złych wpływów doktor Jekyll rozpoczął nowe życie. Wyszedł z odosobnienia, wznowił dawne stosunki z przyjaciółmi, znowu stał się uroczym gospodarzem i pożądanym gościem, a ponadto miłosierne uczynki, którymi zawsze

słynął, uzupełniał szczerą pobożnością. Był czynny, dużo czasu spędzał na świeżym powietrzu, robił wiele dobrego. Twarz rozpogodziła mu się, jak gdyby ogrzewało ją wewnętrzne ciepło, i przez dwa z górą miesiące nic nie zakłócało spokoju Henryka Jekylla.

Ósmego stycznia pan Utterson był u doktora na kolacji w ścisłym gronie. W przyjęciu uczestniczył również Lanyon, a gospodarz spoglądał kolejno na swych gości tak jak niegdyś, gdy stanowili nierozłączną trójkę. Dwunastego i czternastego stycznia starego prawnika nie wpuszczono do przyjaciela.

— Pan doktor nie wychodzi od siebie — oznajmił Poole — i nikogo nie przyjmuje.

Piętnastego nie powiodła się trzecia próba, a że adwokat przez ostatnie dwa miesiące przywykł do niemal codziennych spotkań z Jekyllem, zaniepokoił się nieoczekiwanym nawrotem samotnictwa. Nazajutrz wieczorem zaprosił na kolację pana Guesta, a następnego dnia wybrał się do doktora Lanyona.

Tam nie odprawiono go wprawdzie od drzwi, kiedy jednak zobaczył gospodarza, zdumiał się

jego okropnie zmienionym wyglądem. Znakomity lekarz miał wypisany na twarzy wyrok śmierci. Zestarzał się nagle, schudł i wyłysiał, a jego pełna, rumiana twarz pobladła i zmizerniała. Lecz te widome oznaki fizycznego wyniszczenia nie przeraziły pana Uttersona tak bardzo jak wyraz oczu i zachowanie Lanyona, świadczące o przerażeniu i duchowej rozterce. Adwokat nie podejrzewał przyjaciela o tak wielką obawę w obliczu śmierci, doszedł jednak do wniosku, że to nic innego. „Cóż, jest lekarzem — pomyślał. — Zdaje sobie sprawę ze swego stanu i wie, że dni ma policzone. Widać to więcej, niż znieść potrafi".

Kiedy jednak napomknął coś o fatalnym wyglądzie, doktor Lanyon oznajmił z całym spokojem, że jest skazany na śmierć.

— Doznałem wstrząsu — rzekł — i nigdy już nie przyjdę do siebie. Cóż, to kwestia tygodni. Życie było przyjemne. Kochałem je, mój drogi. Tak, kochałem je dawniej. Chwilami myślę, że gdybyśmy wszystko wiedzieli, chętnie odchodzilibyśmy w nieznane.

— Jekyll też choruje — powiedział stary prawnik. — Widziałeś go ostatnio?

Na te słowa lekarz skrzywił się i podniósł drżącą rękę.

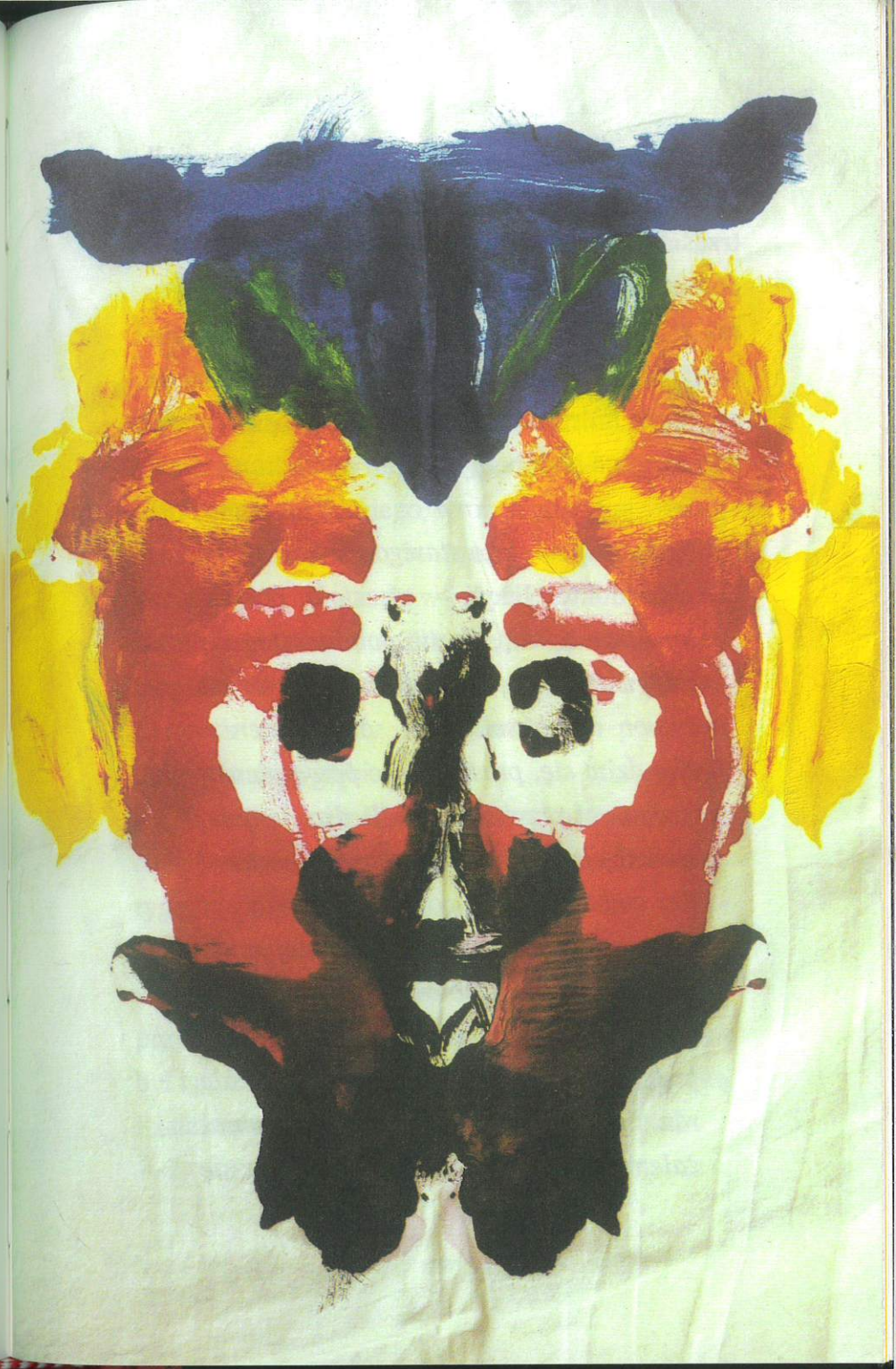
— Nie chcę go więcej widzieć! Nie chcę słyszeć o doktorze Jekyllu! — zawołał łamiącym się głosem. — Skończyłem z nim raz na zawsze i proszę cię, mój drogi, byś oszczędził mi wszelkich uwag na temat osoby, która dla mnie umarła.

— Hm... hm... — mruknął pan Utterson i po chwili namysłu zapytał: — Czy nie mógłbym jakoś pomóc? Rozumiesz, jesteśmy trójką bardzo starych przyjaciół. Życia nam nie starczy na zawiązanie podobnych węzłów.

— Nic dla niego nie można zrobić — odparł Lanyon. — Sam go zresztą zapytaj.

— Ale on nie chce mnie przyjąć — poskarżył się adwokat.

— Nie dziwię się, Utterson. Niegdyś, po mojej śmierci, być może poznasz prawdę. Dzisiaj nic ci nie powiem. Nie mogę. A tymczasem jeżeli mógłbyś zostać ze mną i pogadać o innych sprawach, zostań, na miłość boską. Jeżeli jednak tylko ten temat zaprząta cię bez reszty, lepiej idź sobie, bo to ponad moje siły.



Po powrocie do siebie stary jurysta usiadł i napisał list do doktora Jekylla. Biadał, iż zatrzaśnięto przed nim drzwi przyjaznego niegdyś domu, i pytał o przyczynę nieszczęsnego zerwania z Lanyonem. Następnego dnia otrzymał obszerną odpowiedź, naszpikowaną patetycznymi zwrotami, miejscami zupełnie niejasną. Nieporozumienie z Lanyonem było nie do naprawienia.

Nie winię naszego starego przyjaciela — pisał doktor Jekyll — *wszelako podzielam jego opinię, iż nie powinniśmy się widywać. Od tej pory zamierzam wieść żywot w absolutnym odosobnieniu. Nie dziw się, proszę, i nie powątpiewaj o dawnej przyjaźni, jeżeli drzwi mojej siedziby będą często zamknięte — nawet dla ciebie. Musisz pozwolić mi kroczyć moją mroczną drogą. Z własnej winy ściągnąłem na siebie karę i niebezpieczeństwo, którego nie wolno mi nazwać. Jestem nie tylko arcygrzesznikiem, ale również arcycierpiętnikiem. Nie wyobrażałem sobie, że na tej ziemi znajdzie się*

miejsce dla tak nieludzkiego bólu i strachu, a ty, drogi Utterson, możesz uczynić tylko jedno, by ulżyć trochę ciężkiej doli przyjaciela: uszanuj moje milczenie.

Adwokat był zaskoczony. Ponury cień Hyde'a zniknął. Jekyll wrócił do dawnych obyczajów i zamiłowań, przed tygodniem przyszłość uśmiechała się do niego, wróżąc pogodną i zacną starość. Tymczasem ów spokój ducha, pogoda i cały sens życia runęły w jednej chwili i bez uzasadnionego powodu. Tak wielka i nagła zmiana mogła wskazywać na obłęd, lecz postawa i słowa Lanyona dowodziły, że tajemniczych przyczyn należy szukać głębiej.

W kilka dni później doktor Lanyon zachorował obłożnie i umarł przed upływem dwóch tygodni. Wieczorem, po pogrzebie, który wzruszył go niezmiernie, pan Utterson zamknął się na klucz w swoim gabinecie. Siedział tam jakiś czas przy mdłym blasku świeczki, następnie zaś dobył i położył przed sobą kopertę adresowaną ręką i zalakowaną pieczęcią zmarłego przyjaciela.

POUFNE
DO RĄK WŁASNYCH J.G. UTTERSONA
W PRZYPADKU JEGO WCZEŚNIEJSZEGO ZGONU
SPALIĆ, NIE CZYTAJĄC.

Należy przyznać, że ta instrukcja brzmiała groźnie, więc stary jurysta drżał na myśl o treści zawartego w kopercie dokumentu. „Dziś pochowałem jednego przyjaciela — myślał — a to może mnie kosztować drugiego".

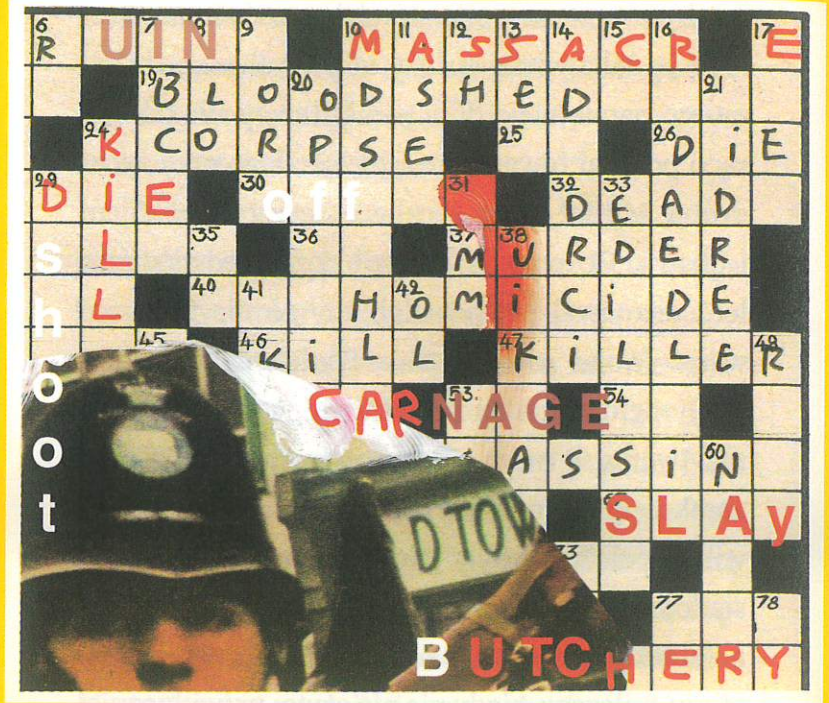
Porzucił jednak obawy, które uznał za nielojalność, i złamał pieczęć. Wewnątrz była druga koperta, również zalakowana i opatrzona napisem: „Nie otwierać przed śmiercią lub niewyjaśnionym zniknięciem doktora Henryka Jekylla".

Utterson nie wierzył własnym oczom. Niewyjaśnione zniknięcie! I tutaj, podobnie jak w szaleńczej ostatniej woli — od dawna zresztą zwróconej autorowi — niewyjaśnione zniknięcie łączyło się z osobą doktora Henryka Jekylla. Ale testament zrodził się w mrokach wyobraźni tego strasznego człowieka — Hyde'a. Cel był aż nadto przejrzysty i jasny. Jaki sens wszakże mają te same słowa pisane ręką doktora Lanyona? Srogie pokusy opadły powiernika. Pragnął

zlekceważyć zakaz i niezwłocznie sięgnąć do dna powikłanej tajemnicy. Ale honor zawodowy i zaufanie zmarłego przyjaciela były wystarczającym hamulcem, toteż koperta spoczęła na dnie sejfu, w najbardziej sekretnej skrytce.

Inna sprawa pokonać ciekawość, inna przemóc ją całkowicie; należy więc mniemać, że od owego pamiętnego dnia pan Utterson nie tak gorąco pragnął towarzystwa pozostałego przy życiu druha. Myślał o nim życzliwie, lecz z niepokojem i obawą. Co prawda chodził doń w odwiedziny, lecz doznawał pewnej ulgi, gdy go nie przyjmowano. Wolał rozmawiać z Poole'em na ganku, przy odgłosach wielkomiejskich gwarów, niż stanąć twarzą w twarz z dobrowolnym pustelnikiem zamkniętym w mrokach opustoszałego domu. Nowiny Poole'a nie były pocieszające. Doktor przesiaduje coraz więcej w gabinecie za laboratorium, a ostatnio często tam nawet sypia. Jest przygnębiony, milczący, nigdy nic nie czyta; najwidoczniej gryzie się wewnętrznie i nad czymś rozmyśla.

Utterson przywykł do jednakich wciąż meldunków kamerdynera i stopniowo począł odwiedzać przyjaciela coraz rzadziej.


UN
MASSACRE
BLOODSHED
CORPSE
DIE
DIE
off
DEAD
MURDER
HOMICIDE
KILL
KILLER
CARNAGE
ASSIN
SLAy
shoot
BUTCHERY

POD OKNEM



Podczas zwykłej niedzielnej przechadzki panowie Utterson i Enfield zawędrowali znowu na ową boczną uliczkę. Kiedy znaleźli się naprzeciw wiadomych drzwi, przystanęli nagle i obydwaj spojrzeli w ich kierunku.

— Ha, historia skończona — odezwał się Enfield. — Nie zobaczymy więcej pana Hyde'a.

— Mam nadzieję — odparł Utterson. — Mówiłem ci kiedyś, że go raz widziałem i że, podobnie jak ty, poczułem dziwną odrazę?

— Nie mogło się obejść bez tego — powiedział pan Enfield. — Ale ty musisz mnie uważać za kapitalnego osła. Nie domyśliłem się wtedy, że te drzwi to tylne wejście do rezydencji doktora Jekylla. Ba, nawet później odkryłem to po trosze z twojej winy.

— A więc dokonałeś odkrycia! — zawołał stary prawnik. — Ponieważ już się to stało, możemy skręcić w podwórze i spojrzeć w te okna. Prawdę mówiąc, bardzo się niepokoję o biednego Jekylla. Mam wrażenie, iż towarzystwo przyjaciela, bodaj przez ścianę, wyszłoby mu na dobre.

Chociaż wysoko w górze niebo płonęło jeszcze słonecznym blaskiem, w wilgotnym, chłodnym zaułku panował cienisty półmrok. Środkowe z trzech okien było wpółotwarte, przy nim zaś siedział doktor Henryk Jekyll — smutny i zatroskany niby więzień, co znikąd nie wygląda pociechy.

— O, Jekyll! — zawołał zdziwiony adwokat. — Jakże się cieszę! Widzę, że ci lepiej.

— Gorzej, mój drogi — odparł sucho lekarz. — Nieporównanie gorzej. Chwała Bogu, niedługo już pociągnę.

— Za dużo przesiadujesz w domu — podjął Utterson. — Trzeba spacerować, pobudzać krążenie krwi, jak my z panem Enfieldem. Pozwolisz... To mój kuzyn, Enfield. Doktor Jekyll, Ryszardzie. Rusz się choćby zaraz. Weź kapelusz. Chodź z nami.

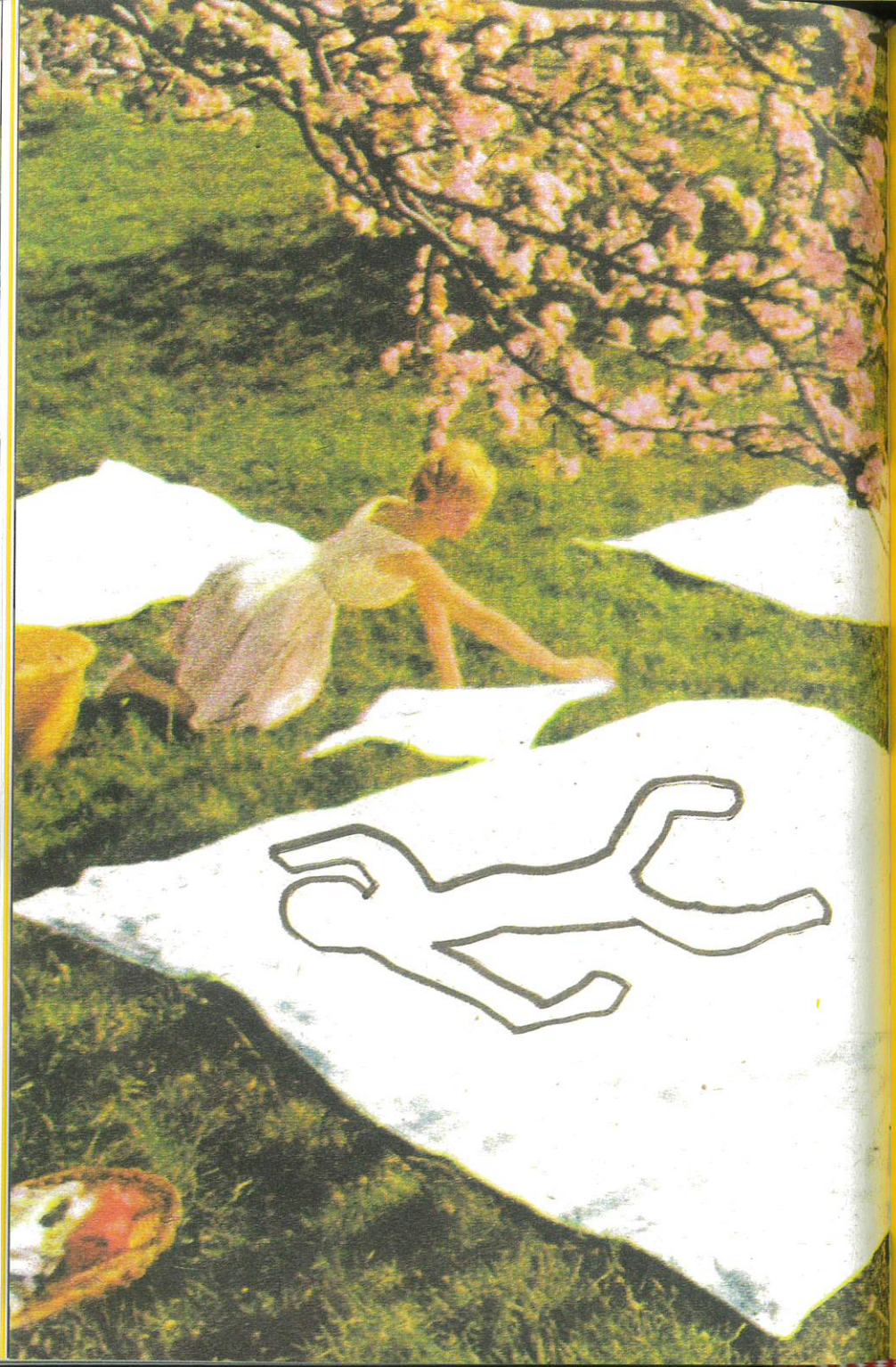
— Zacny jesteś — westchnął doktor. — Posłużyłaby mi przechadzka, ale... Nie, nie, nie! To niemożliwe! Za nic się nie odważę. Doprawdy, Utterson, miło mi, że cię widzę. Zrobiłeś mi wielką przyjemność. Chętnie zaprosiłbym na górę ciebie i pana Enfielda, ale ta nora nie nadaje się do przyjmowania gości.

— W takim razie — odparł wesoło stary prawnik — nie mamy wyboru. Zostaniemy na miejscu i utniemy z tobą rozmówkę.

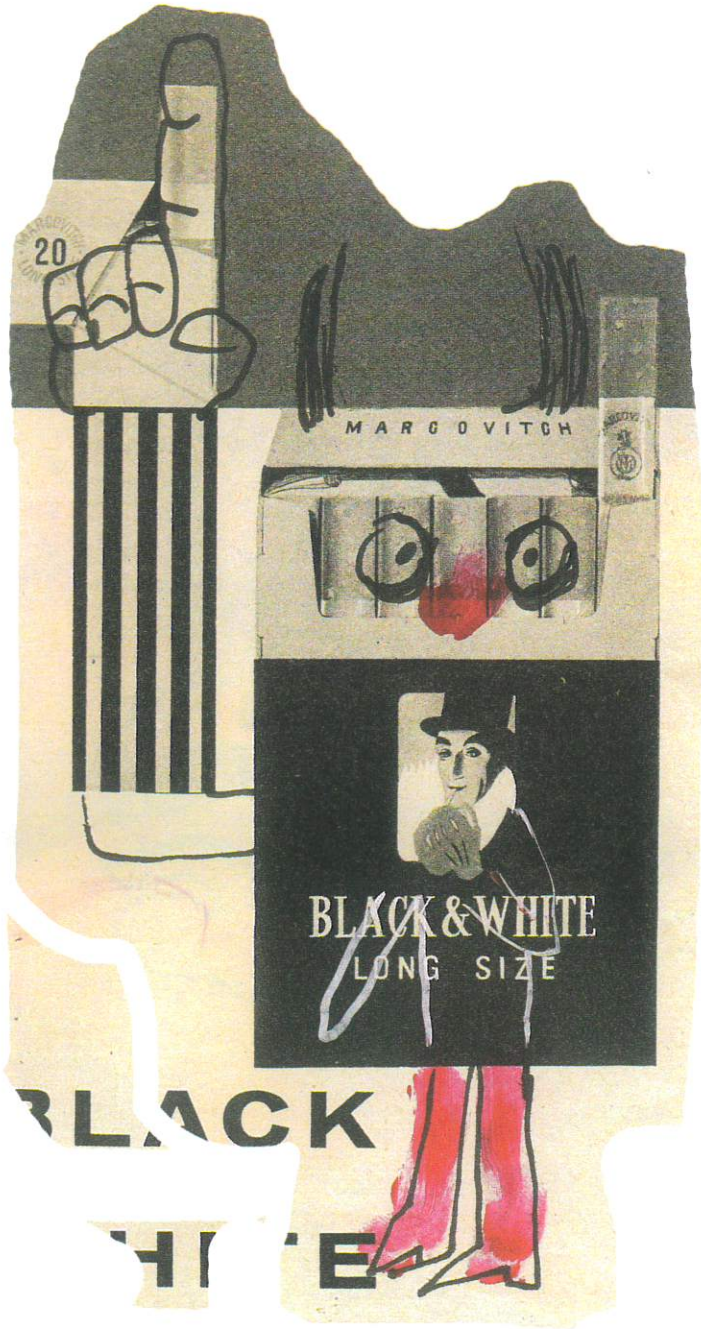
— O to właśnie zamierzałem panów prosić — powiedział lekarz i uśmiechnął się pogodnie. W tej chwili jednak uśmiech znikł i ustąpił miejsca wyrazowi takiej grozy i rozpaczy, że krew zastygła w żyłach dwóch przyjaciół stojących na dole. Twarz doktora widzieli przez mgnienie oka, bo okno opadło z trzaskiem, lecz to mgnienie wystarczyło w zupełności. Odwrócili się i bez słowa opuścili mroczne podwórze. Idąc cichą uliczką, milczeli również i dopiero na pobliskiej arterii, która nawet w niedzielę pulsowała życiem, pan Utterson zerknął z ukosa na krewniaka i w odpowiedzi otrzymał spojrzenie pełne trwogi. Obydwaj byli śmiertelnie bladzi.

— Zmiłuj się, Boże wszechmogący — jęknął stary prawnik. — Zmiłuj się nad nami!

Enfield smutnie pochylił głowę i szedł dalej w milczeniu.



OSTATNIA NOC



Pewnego wieczora pan Utterson wypoczywał po kolacji przed kominkiem, gdy zaskoczyła go wizyta Poole'a.

— Słowo daję, Poole! Co cię sprowadza? — zawołał, lecz przyjrzawszy się baczniej kamerdynerowi, dodał: — Co się stało? Pan doktor chory?

— Panie mecenasie — odpowiedział służący. — Bardzo niewyraźna sprawa.

— Siadaj. Masz tu kieliszek wina. Nie śpiesz się. Powiedz otwarcie, o co ci chodzi.

— Zna pan mecenas obyczaje doktora — podjął Poole. — Wie pan, że zamyka się na cztery spusty. Otóż znowu zamknął się w gabinecie i, panie mecenasie, wcale mi się to nie podoba. Naprawdę wcale. Boję się, panie mecenasie.

— Mój kochany — rzekł adwokat. — Uspokój się i mów jasno. Czego się boisz?

— Boję się od jakiegoś tygodnia — odparł Poole, puszczając pytanie mimo uszu. — Dłużej już nie wytrzymam!

Wygląd wiernego sługi aż nadto potwierdzał jego słowa. Poole zachowywał się nerwowo i tylko raz, kiedy oznajmił panu Uttersonowi

o swym strachu, spojrzał mu w oczy. Siedział ponury, trzymając na kolanie nieruszony kieliszek wina, i wpatrywał się uparcie w kąt posadzki.

— Dłużej już nie wytrzymam — powtórzył.

— No, śmiało, Poole — podjął gospodarz. — Widzę, że coś cię dręczy, że naprawdę stało się coś złego. Spróbuj mi wytłumaczyć, o co właściwie chodzi.

— Myślę, że to nieczysta sprawa — bąknął kamerdyner.

— Nieczysta sprawa! — krzyknął adwokat, zdenerwowany własnym przestrachem. Jaka nieczysta sprawa? Co ten człowiek plecie?

— Nie bardzo mam odwagę prosić — jąkał kamerdyner — ale gdyby pan mecenas raczył pójść ze mną i... i przekonać się na własne oczy...

W odpowiedzi pan Utterson wstał, chwycił płaszcz i kapelusz. Bardzo się zdziwił wyrazem ulgi, który ożywił zatroskaną twarz Poole'a, a jeszcze bardziej faktem, że wierny sługa odstawił nietknięty kieliszek.

Noc była zimna, wietrzna, prawdziwie marcowa. Sierp księżyca leżał na grzbiecie, jak gdyby obaliła go zawierucha gnająca szybko strzępy bia-

łych, pierzastych obłoków. Wiatr porywał słowa i barwił policzki, a ponadto — zdawać się mogło — zmiatał przechodniów; pan Utterson nigdy nie widział równie wyludnionych ulic Londynu. Dokuczała mu ta pustka, bo był w nastroju, kiedy człowiek gorąco pragnie widoku i sąsiedztwa bliźnich. Mimo wewnętrznej walki przytłaczało go brzemieniem przeczucie nieszczęścia. Wicher hulał po placu, podnosił tumany pyłu, a cienkie drzewa na skwerku smagały żelazne ogrodzenie. Poole, który przez całą drogę wyprzedzał adwokata o parę kroków, zrównał się z nim teraz i nie bacząc na kąśliwe zimno, zdjął kapelusz, aby czerwoną chustką osuszyć czoło. Chociaż szli szybko, nie była to rosa zmęczenia, lecz zimny pot bezbrzeżnej trwogi. Twarz miał trupiobladą, mówił schrypniętym, przerywanym głosem.

— Panie... mecenasie... oto jesteśmy na miejscu... Daj Boże, by... nie czekało nas... nic złego.

— Amen — dorzucił pan Utterson poważnym tonem.

Kamerdyner zastukał cicho. W odpowiedzi uchyliły się drzwi zabezpieczone łańcuchem, a jakiś głos zapytał z wnętrza domu:

— Czy to pan Poole?

— Ja, ja! Otwieraj! Prędzej!

Hall był jasno oświetlony, na kominku buchał suty ogień, a w jego kręgu cała służba — kobiety i mężczyźni — stała stłoczona niby trzoda owiec. Na widok starego jurysty pokojówka zachlipała histerycznie, a kucharka wrzasnęła: „Pan Utterson! Chwalić Boga!", i skoczyła naprzód, jak gdyby chciała porwać w ramiona wybawcę.

— Co się tutaj wyrabia? — rzucił gniewnie adwokat. — Dlaczego wszyscy tkwicie w hallu? Co za nieporządek, niesubordynacja? Na pewno wasz pan nie byłby zadowolony.

— Wszyscy się boją — bąknął Poole.

Nastała głucha cisza, tylko pokojówka zaczęła głośniej szlochać.

— Milcz, głupia! — zgromił ją kamerdyner z furią świadczącą o zdenerwowaniu; lecz na donośny lament dziewczyny całe zgromadzenie poruszyło się i z grobowymi minami zaczęło zmierzać do drzwi w głębi hallu.

— A teraz — ciągnął Poole, zwracając się do chłopca kredensowego — podaj mi świecę. Trzeba z tym skończyć wreszcie.

Następnie poprosił pana Uttersona, by zechciał za nim pójść, i wyprowadził gościa do ogrodu na tyłach domu.

— Panie mecenasie — mówił po drodze. — Proszę poruszać się możliwie jak najciszej. Chcę, żeby pan dobrze słyszał, nie będąc jednocześnie słyszanym. I jeszcze jedno. Gdyby przypadkiem on poprosił pana do gabinetu, niech pan mecenas za nic nie wchodzi.

Ta nieoczekiwana przestroga tak wstrząsnęła nerwami pana Uttersona, że biedak omal nie utracił równowagi ducha. Opanował się wszakże, pewnym krokiem wszedł za przewodnikiem do nieprzyjemnej budowli i przez stare prosektorium, zastawione skrzyniami i butelkami, pośpieszył w kierunku schodów. Tam kamerdyner nakazał mu gestem, by stanął na uboczu i słuchał, sam zaś postawił świecę i przywołując resztki odwagi, wszedł na stopnie. Drżącą ręką zastukał do obitych czerwonym suknem drzwi gabinetu.

— Pan Utterson chciałby widzieć się z panem doktorem — zawołał i jeszcze raz poprosił na migi, by adwokat pilnie nastawił uszu.

— Powiedz panu Uttersonowi, że nikogo nie mogę przyjąć — odpowiedziano zza drzwi żałosnym tonem.

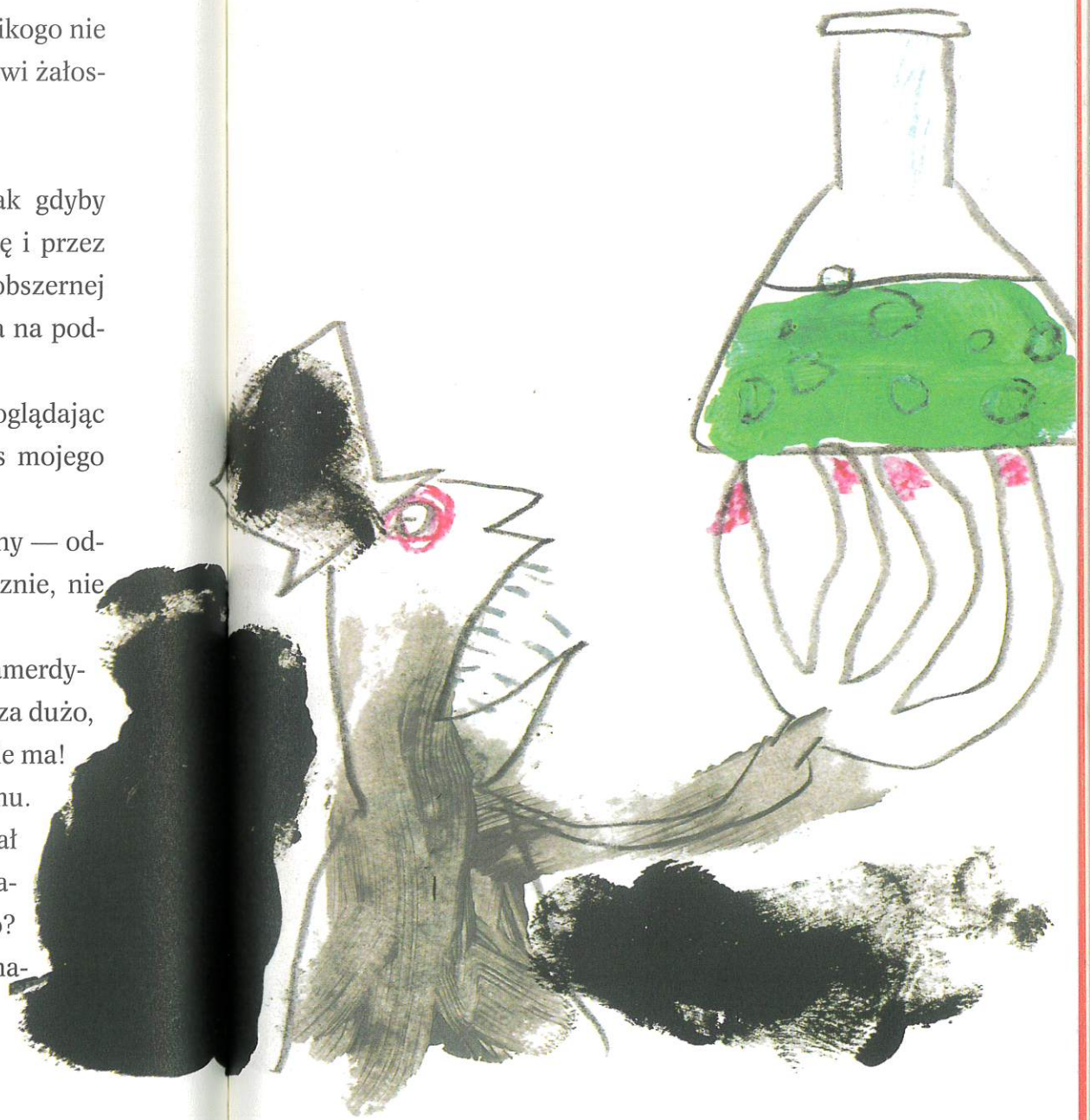
— Dobrze, panie doktorze.

W głosie Poole'a brzmiała nuta jak gdyby triumfu. Wierny sługa znów ujął świecę i przez podwórko zaprowadził adwokata do obszernej kuchni, gdzie ogień od dawna wygasł, a na podłodze mrowiły się karaluchy.

— Panie mecenasie — zapytał, spoglądając Uttersonowi w oczy — czy to był głos mojego pana?

— W każdym razie bardzo zmieniony — odparł zagadnięty i chociaż pobladł znacznie, nie odwrócił wzroku.

— Zmieniony! — powtórzył kamerdyner. — Dwadzieścia lat służby to trochę za dużo, bym się mógł mylić. Mojego pana tam nie ma! Coś się z nim stało. Zniknął tydzień temu. Wtedy słyszeliśmy go ostatni raz. Wzywał imienia bożego. Płakał. A kto jest w gabinecie, panie mecenasie? Kto czy co? I dlaczego tam siedzi? To, panie mecenasie, coś, co woła o pomstę do nieba!



— Dziwna historia, Poole. Dziwna i szalona, mój drogi — odrzekł pan Utterson, przygryzając wargi. — Załóżmy, że twoje domysły są słuszne, że doktor naprawdę... no, powiedzmy, został zamordowany. Czemu jego zabójca pozostaje na miejscu? Nie! Ten pomysł nie wytrzymuje krytyki. Sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi.

— Cóż, panie mecenasie — podjął kamerdyner — ciężko pana przekonać, ale myślę, że mi się uda. Trzeba panu wiedzieć, że ten czy to, co od tygodnia mieszka w gabinecie, po całych dniach i nocach dopomina się o jakieś lekarstwo i wciąż dostaje nie to, co chce. On, to znaczy mój pan, też miał zwyczaj wypisywać rozkazy i rzucać kartki na schody. Ale zdarzało się to rzadko. A teraz przez okrągły tydzień nic tylko papier i papier. Nawet jedzenie, które zostawiam na stopniach, pod samymi drzwiami, znika dopiero, jak nikt nie patrzy. Proszę teraz uważać, panie mecenasie. Co dzień, ba! dwa albo trzy razy dziennie znajduję na schodach zamówienia albo reklamacje i jak głupi biegam po wszystkich hurtowniach aptecznych w Londynie. Niech tylko wrócę z tym medykamentem, zaraz

znajdzie się polecenie, żeby go zwrócić, bo jest niezupełnie czysty, oraz zamówienie do jakiejś innej firmy. Nie wiem po co, panie mecenasie, ale ten lek jest niezmiernie potrzebny w gabinecie.

— Masz może takie zamówienie? — zapytał stary jurysta.

Poole sięgnął do kieszeni i wręczył panu Uttersonowi zmiętą kartkę, ten zaś przysunął się do świecy i przy mdłym płomyku przeczytał:

Doktor Jekyll przesyła panom Maw wyrazy szacunku i uprzejmie komunikuje, że dostarczona przez nich ostatnio próbka jest zanieczyszczona i nie nadaje się do zamierzonego celu. Przypominam, że w roku 18[redacted] nabyłem u Panów dość znaczną ilość tego samego środka, obecnie zaś proszę gorąco o dołożenie wszelkich starań, by dostarczyć mi niezwłocznie bodaj niewielką dozę poprzedniej jakości. Ze względu na wagę sprawy cena nie odgrywa roli.

Do tego momentu list był stosunkowo spokojny. Dalej jednak widniał duży kleks, jak gdyby nerwy zawiodły piszącego, i reklamacja kończyła się rozpaczliwym wykrzyknikiem: „Na miłosierdzie boskie! Wynajdźcie bodaj szczyptę!".

— Osobliwy list — mruknął pan Utterson i zaraz dorzucił szorstko: — Dlaczego otwarty?

— Subiekt od panów Maw zirytował się i cisnął mi w nos tę kartkę — objaśnił Poole.

— Niewątpliwie to pismo doktora — podjął adwokat. — Jak sądzisz, Poole?

— Tak mi się też zdawało — przyznał ponuro kamerdyner, lecz w tej chwili zmienił ton i zawołał: — Co tam pismo! Widziałem go przecież!

— Widziałeś! No i...?

— Ano tak, panie mecenasie — podjął Poole. — Niespodziewanie wszedłem z ogrodu do starego prosektorium. On wymknął się na moment z gabinetu, żeby poszukać tego medykamentu, czy Bóg tam wie czego. Myszkował właśnie w kącie między próżnymi skrzynkami. Jak mnie usłyszał, podniósł głowę, wrzasnął przeraźliwie i czmychnął na schody. Tylko drzwi trzasnęły. Ach, panie mecenasie! Widziałem go



przez chwilkę, ale to wystarczyło, żeby włosy stanęły mi dęba. Jeżeli to był mój pan, czemu, u Boga Ojca, miał maskę na twarzy? Jeżeli to był mój pan, to dlaczego piszczał niby szczur i umykał przede mną? Długo mu przecież służę. A zresztą... — Urwał nagle i dłonią przesunął po czole.

— Bardzo to wszystko zagadkowe — odparł stary jurysta — wydaje mi się jednak, że zaczynam się domyślać. Posłuchaj, Poole. Twój pan cierpi na jakąś okropną chorobę, co nie tylko udręcza, lecz również oszpeca chorego. Stąd, jak mniemam, zmiana głosu, maska na twarzy i unikanie przyjaciół; stąd gorączkowe poszukiwanie leku, w który nieszczęśnik wierzy i spodziewa się całkowitego uleczenia. Daj Boże, by się nie łudził. Daj Boże! Oto moje wnioski, smutne co prawda i budzące trwogę, ale proste, naturalne, logiczne... Poza tym uwalniają nas od lęku przed zbrodnią lub czymś nadprzyrodzonym.

— Panie mecenasie! — zawołał śmiertelnie blady kamerdyner. — To, co widziałem, nie było wcale moim panem! Nie mam najmniejszej wątpliwości. Mój pan — tu obejrzał się trwożnie

i począł mówić szeptem — był słusznego wzrostu, dobrze zbudowany, a tamto: pokurcz, karzeł!

Pan Utterson próbował oponować, ale Poole krzyknął:

— Ach, panie mecenasie! Myśli pan, że po dwudziestu latach służby mógłbym nie poznać doktora Jekylla? Że nie wiem, dokąd on sięga głową, kiedy mija drzwi gabinetu? Przez pół życia widywałem go nie raz i nie dwa razy na dzień! Nie, panie mecenasie. Ten stwór w masce nie był moim panem. Bóg wie, co to takiego, ale na pewno nie doktor Jekyll. Głos serca wciąż mi mówi, że mój pan zamordowany!

— Jeżeli naprawdę jesteś takiego zdania, za obowiązek swój uważam rozwikłanie zagadki. Chciałbym uszanować uczucia twojego pana, zbija mnie z tropu list, który na pozór dowodzi, iż doktor Jekyll żyje. Mimo wszystko jednak sumienie nakazuje mi wyważyć drzwi.

— Ach, panie mecenasie! — zawołał kamerdyner. — To racja! Święta racja!

— Powstaje jednak kwestia, kto ma to zrobić? — podjął pan Utterson.

— Jak to? Naturalnie pan mecenas ze mną — padła niezrażona odpowiedź.

— Słusznie, Poole. Pamiętaj, cokolwiek by się stało, moja głowa, byś ty nie ucierpiał.

— W prosektorium jest siekiera, a pan może wziąć z kuchni pogrzebacz — ciągnął wierny sługa.

Pan Utterson wziął prymitywne, lecz ciężkie narzędzie i przez chwilę ważył je w ręku.

— Zdajesz sobie sprawę, Poole — zapytał, spoglądając słudze w oczy — że narażamy się na niebezpieczeństwo?

— A pewnie, pewnie, panie mecenasie.

— Dobrze zatem, abyśmy byli ze sobą szczerzy — podjął stary jurysta. — Obydwaj myślimy więcej, niż mówimy. Zrzućmy ten ciężar. Powiedz mi otwarcie, czy poznałeś to tajemnicze stworzenie w masce?

— Widzi pan mecenas, uciekało co tchu i tak było zgięte, że przysiąc bym nie mógł. Ale jeżeli pan zapyta, czy to był pan Hyde... odpowiem: tak! Tak mi się przynajmniej zdawało. Cóż, wzrostem się nie różniło i miało takie same zwinne, lekkie ruchy. A zresztą któż inny mógłby zakraść

się przez drzwi laboratorium? Niech pan nie zapomina, że w dniu śmierci sir Danversa Carew pan Hyde na pewno miał klucz przy sobie. Ale nie na tym koniec. Nie wiem, czy pan mecenas zetknął się kiedy z panem Hyde'em?

— Tak — odparł prawnik. — Raz z nim rozmawiałem.

— A więc musi pan wiedzieć, podobnie jak my wszyscy, że w tym człeku jest coś dziwnego... coś takiego, że aż się zimno robi... Nie wiem, jak to wyrazić, panie mecenasie... Ale ile razy go spotkałem, mrówki chodziły mi po grzbiecie.

— Przyznaję, że ja również odczuwałem coś w tym sensie — mruknął pan Utterson.

— A widzi pan mecenas! Otóż jak stworzenie w masce wyskoczyło spomiędzy skrzynek i niby małpa czmychnęło do gabinetu, poczułem takie właśnie mrówki na plecach. Ach, panie mecenasie! Wiem, że to żaden dowód. Przecież nie jestem zupełnym nieukiem. Ale człowiek ma swoje przeczucia i gotówem przysiąc na Ewangelię, że to był pan Hyde.

— Tak, tak — powiedział adwokat. — Od dawna obawiałem się czegoś w tym rodzaju. Zło

leżało u fundamentów tej przyjaźni. Zło musiało z niej wyniknąć. Tak jest, Poole! Masz słuszność. Podejrzewam, że biedny Henryk zginął tragiczną śmiercią, a morderca (Bóg jeden wie dlaczego) zagnieździł się w pokoju ofiary. Nam powinna przypaść w udziale pomsta! Zawołaj Bradshawa.



Lokaj stawił się wnet na wezwanie, chociaż blady był i roztrzęsiony.

— Trzymaj się, Bradshaw — powitał go adwokat. — Niepewność dręczy was wszystkich. Bardzo dobrze to rozumiem. Obecnie jednak chcemy rozwikłać tę zagadkę. My z Poole'em wyłamiemy drzwi do gabinetu. Jeżeli wszystko okaże się w porządku, całą odpowiedzialność biorę na własne barki. Jeżeli jednak coś stało się naprawdę i złoczyńca będzie próbował ucieczki, trzeba będzie temu zapobiec. Bradshaw, weź sobie do pomocy chłopca kredensowego. Uzbroicie się w tęgie kije i zajmiecie posterunki na ulicy, przed drzwiami laboratorium. Daję wam na to dziesięć minut.

Lokaj wyszedł, a pan Utterson spojrzał na zegarek.

— Nasza kolej, Poole — powiedział. — Do roboty!

Z tymi słowy ścisnął pod pachą pogrzebacz i pierwszy ruszył na podwórko. Tymczasem chmury przesłoniły księżyc i zrobiło się zupełnie ciemno. Nagłe podmuchy wiatru przenikały od czasu do czasu w głęboką studnię murów

i chwiały płomieniami świecy. Prawie po omacku dwaj spiskowcy dotarli do starego prosektorium i tam usiedli, czekając właściwej pory. Z dala dochodził głuchy pomruk stolicy, lecz w bezpośredniej bliskości słychać było tylko odgłos szybkich, nerwowych kroków przemierzających gabinet tam i z powrotem.

— Cały dzień tak chodzi, panie mecenasie — szepnął Poole. — Cały dzień i większą część nocy! Ustaje tylko na chwilę, jak nowa próbka leku przyjdzie z jakiejś apteki. Tak, tak! Nieczyste sumienie to najgorszy wróg spoczynku. Ach, panie mecenasie! W każdym tym kroku czuć haniebnie przelaną krew! Niech pan dobrze posłucha! Czy to chód mojego pana?

Echo powolnej przechadzki tam i z powrotem było dziwne, lekkie, jakieś nierytmiczne. Nie przypominało wcale odgłosu ciężkich, miarowych kroków doktora Henryka Jekylla. Utterson westchnął.

— Nie dobywają się stamtąd żadne inne dźwięki? — zapytał.

— Raz słyszałem płacz — odpowiedział kamerdyner.

— Płacz? Jak to? — Nagły dreszcz wstrząsnął starym jurystą.

— Zawodzenie niby kobiety albo potępionej duszy. Wzięło mnie to za serce. Jak odchodziłem, samemu mi się chciało płakać.

Tymczasem dziesięć minut dobiegło końca. Poole wygrzebał siekierę spod stosu słomy i na najbliższym stole ustawił świecę, by im było jasno w czasie ataku. Obydwaj wstrzymali dech i postąpili w stronę drzwi, za którymi wciąż zakłócał ciszę nocną szelest przechadzki — tam i z powrotem, tam i z powrotem.

— Jekyll! Chcę się z tobą widzieć! — zawołał donośnie adwokat i umilkł na moment, lecz nie otrzymał odpowiedzi. — Ostrzegam lojalnie! Mamy uzasadnione powody do obaw. Chcesz czy nie chcesz, musimy się zobaczyć. Zgodzisz się na to lub użyjemy siły!

— Uttersonie — odpowiedział płaczliwy głos. — Ulituj się, na miłosierdzie boskie!

— Ha! To nie głos Jekylla, lecz Hyde'a! — krzyknął adwokat. — Do drzwi, Poole!

Kamerdyner zamachnął się wówczas potężnie. Mocny cios wstrząsnął starą budowlą, obite

czerwonym suknem drzwi podskoczyły na ryglu i zawiasach. W gabinecie rozbrzmiał zwierzęcy wrzask śmiertelnej trwogi. Siekiera wznosiła się i opadała cztery razy. Deski trzeszczały, futryna dygotała w murze. Ale drzewo było twarde, a okucia wybornej roboty, toteż dopiero za piątym ciosem zamek puścił i porąbane drzwi padły na dywan w gabinecie.

Zdobywcy, jak gdyby oszołomieni krótkotrwałym hałasem i ciszą, która nagle zapanowała, cofnęli się i trwożnie zajrzeli do środka. Mieli przed sobą przestronny gabinet rozjaśniony ciepłym blaskiem lampy. Ogień tańczył i huczał na kominku, czajnik nucił cieniutkim głosikiem, opodal zaś czekała zastawa do herbaty. Parę szuflad było otwartych. Na biurku papiery leżały w doskonałym ładzie. Zacisznie i przytulnie. Gdyby nie oszklone szafki pełne medykamentów, rzekłbyś, najzwyklejszy pokój, jakich nie brak w Londynie.

Pośrodku leżało ciało mężczyzny, drgające jeszcze i dziwacznie powykręcane. Pan Utterson i Poole zbliżyli się na palcach, odwrócili je na wznak i spojrzeli w twarz Edwarda Hyde'a. Miał

na sobie ubranie o wiele za duże, miary doktora Jekylla. Mięśnie twarzy poruszały się, stwarzając pozór życia, lecz życie opuściło już ów kształt ludzki. Zgnieciona fiolka w dłoni i silny zapach gorzkich migdałów, unoszący się w powietrzu, powiedziały staremu juryście, iż ogląda zwłoki samobójcy.

— Za późno na ratunek lub karę — orzekł poważnie pan Utterson. — Hyde odszedł, by zdać sprawę z żywota. Pozostaje nam jedno: odszukać ciało twojego pana.

Stara budowla składała się właściwie z dwóch pomieszczeń. Prawie cały parter zajmowało oświetlone z góry prosektorium, gabinet zaś stanowił w głębi półpiętro i miał trzy okna wychodzące na podwórze. Z prosektorium do drzwi na boczną uliczkę wiódł korytarz połączony schodkami z drugim wejściem do gabinetu. Ponadto było tylko kilka ciemnych schowków i przestronna piwnica. Nie marnując czasu, adwokat i kamerdyner jęli przetrząsać te zakątki. Ze schowkami skończyli szybko, gdyż ziały pustką, a pył podnoszący się przy otwieraniu drzwi dowodził, że nikt nie zaglądał tam od dawna.

W piwnicy leżały wprawdzie stosy rupieci, przeważnie z czasów znakomitego chirurga — poprzednika doktora Jekylla — jednak misterna sieć pajęczyn niewątpliwie od wielu lat pieczętowała wejście, a więc dalsze poszukiwania nie miałyby sensu. Nigdzie nie było śladu pana domu — żywego ani umarłego.

Poole tupnął w kamienną posadzkę korytarza i mruknął, nasłuchując echa:

— Tutaj musi być pogrzebany.

— Albo uciekł — dodał adwokat, po czym zbliżył się do drzwi wiodących na boczną uliczkę, by obejrzeć je z bliska.

Były zamknięte. W pobliżu na kamiennej płycie leżał klucz pokryty już rdzą.

— Chyba od dawna nikt go nie używał — powiedział pan Utterson.

— Używał! — powtórzył kamerdyner niby echo. — Nie widzi pan mecenas, że złamany? Zupełnie jak gdyby go ktoś przygniótł obcasem.

— Aha — zdziwił się adwokat. — I nawet na pęknięciu zdążył zardzewieć. Nic nie pojmuję, Poole. Wracajmy do gabinetu.

Wymienili pełne lęku spojrzenia, bez słowa weszli na schodki i zerkając

od czasu do czasu na nieruchome już zwłoki, poczęli dokładniej przetrząsać gabinet. Na jednym ze stołów zauważyli kilka szklanych spodków z rozmaitymi dozami białego proszku. Wyglądało to tak, jak gdyby nieszczęsny doktor Jekyll nie zdążył skończyć jakiegoś doświadczenia chemicznego, jak gdyby coś mu przeszkodziło.

— To ten sam lek, który mu ciągle znosiłem — powiedział Poole.

W tej chwili czajnik zagotował się i począł głośno syczeć, co zwabiło poszukiwaczy w stronę kominka. Wygodny fotel przysunięto blisko ognia, a nieco dalej, lecz w zasięgu ręki, czekała gotowa zastawa. Nawet cukier był już w filiżance. Na półce stało kilka książek, jedna zaś leżała otwarta na stoliczku z przyborami do herbaty. Pana Uttersona zdumiały straszliwe bluźnierstwa wypisane ręką pana domu na marginesach dzieła teologicznego, o którym doktor Jekyll wyrażał się z uznaniem.

Dalsze poszukiwania zawiodły ich pod tremo. Pan Utterson i Poole z mimowolną trwogą zajrzeli w głąb zwierciadlanej tafli. Była jednak tak

nachylona, że zobaczyli tylko różowy odblask na suficie, tysiączne iskry migocące w szybach i lakierowanym drewnie szafek oraz własne blade, przejęte grozą twarze.

— Panie mecenasie — szepnął kamerdyner. — Dziwne rzeczy widziało to lustro.

— Ale nie dziwniejsze niż ono samo — odszepnął pan Utterson. — Po licha Jekyll... — Urwał, jak gdyby mu tchu brakło, lecz rychło przemógł słabość. — Po licha było tu potrzebne Jekyllowi!

— Racja, panie mecenasie! Racja! — zawołał służący.

Następnie przyszła kolej na biurko, gdzie na stosie porządnie ułożonych papierów znalazła się duża koperta, zaadresowana ręką doktora Jekylla do pana G.J. Uttersona. Adwokat złamał pieczęć i zawartość koperty wysypała się na dywan. Pierwszy arkusz był ostatnią wolą, zredagowaną równie dziwacznie jak poprzednia, zwrócona autorowi przed pół rokiem. Była tam także mowa o śmierci lub niewyjaśnionym zniknięciu, lecz na miejscu Edwarda Hyde'a widniało nazwisko Gabriela Johna Uttersona.

Stary jurysta zdumiał się niezmiernie. Spojrzał na Poole'a, potem na trzymany w ręku papier, wreszcie w stronę martwego złoczyńcy, rozciągniętego na dywanie.

— W głowie się mąci — mruknął. — Hyde gospodarował tu przez kilka dni. Nie miał powodu, by mnie kochać. Musiał się wściekać, że został wydziedziczony. A mimo to nie zniszczył dokumentu!

Następna kartka zawierała kilka słów skreślonych pismem doktora i u góry opatrzona była datą.

— Ach, Poole! — zawołał prawnik. — Twój pan żył jeszcze dzisiaj. Był w tym pokoju! Niepodobna uprzątnąć trupa w tak krótkim czasie. Musi być cały. Na pewno umknął! Ale dlaczego? Jak? Dokąd? I czy w takim przypadku można uważać to — wskazał zwłoki na dywanie — za samobójstwo? Ach, bądźmy ostrożni, Poole, bo (nie daj Boże!) wciągniemy twojego pana w okropne nieszczęście.

— Ale pan mecenas nie przeczytał jeszcze listu — powiedział Poole.

— Boję się — brzmiała odpowiedź. — Oby bez uzasadnionego powodu!

Z tymi słowy przebiegł wzrokiem kilka wierszy, a później przeczytał głośno:

Drogi Uttersonie!
Kiedy ten list znajdzie się w Twoich rękach, mnie już nie będzie. Jak to się stanie, przewidzieć nie zdołam. Ale przeczucie i cała moja niezwykła sytuacja zapowiadają, że koniec jest nieuchronny i rychły. Proszę Cię, przeczytaj najprzód zeznanie, które zgodnie z zapowiedzią Lanyona powierzone zostało przez niego Twojej pieczy. Jeżeli zapragniesz wiedzieć więcej, odwołaj się do mojej spowiedzi.

Twój niegodny i nieszczęśliwy
przyjaciel Henryk Jekyll

— Czy było coś więcej? — zapytał adwokat.

— Było — odparł Poole i podał panu Uttersonowi sporą kopertę, opieczętowaną w kilku miejscach.



Pan Utterson wsunął ją do kieszeni i powiedział:

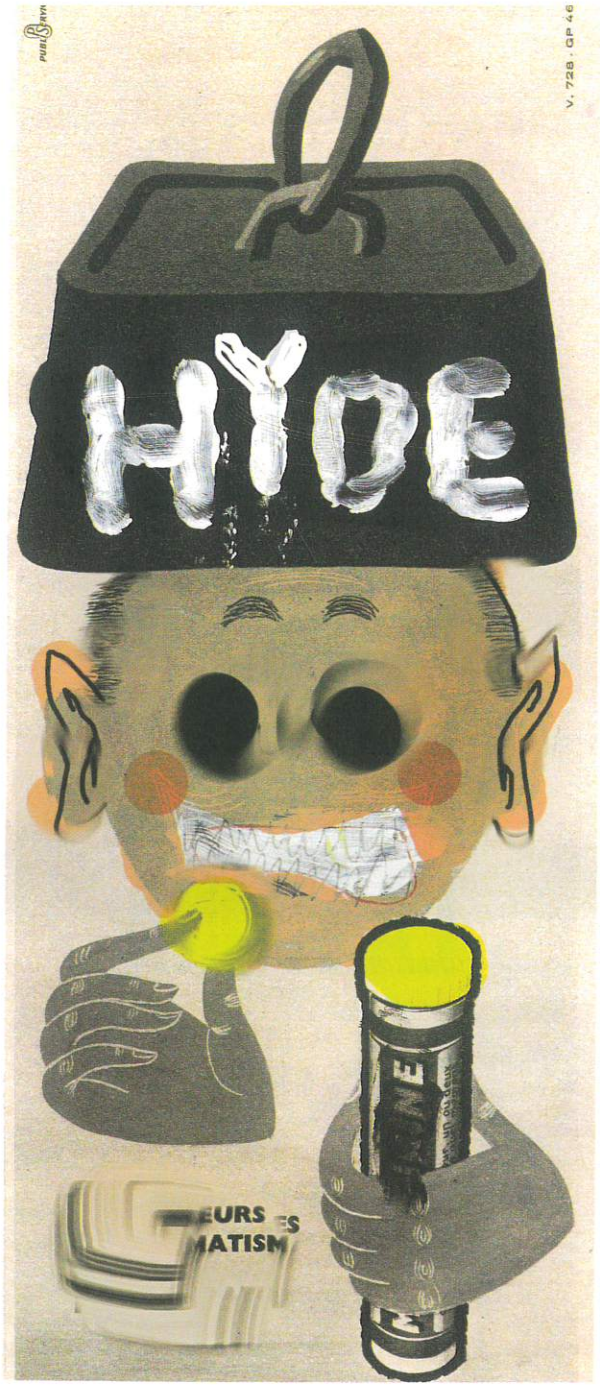
— Nic nie będę mówił o tych papierach. Jeżeli twój pan umknął albo nie żyje, uratujemy przynajmniej jego dobre imię. Innej rady nie ma. Pójdę teraz do domu i przeczytam spokojnie wszystko, co mam do przeczytania. Wrócę przed północą. Wtedy wezwiemy policję.

Adwokat i kamerdyner wyszli na podwórze i zamknęli na klucz drzwi dawnego prosektorium. Pan Utterson zostawił służbę zbitą w gromadkę przed kominkiem w hallu i powędrował do domu, aby zapoznać się z treścią obu wyjaśniających zagadkę dokumentów.





ZEZNANIE DOKTORA LANYONA



Przed czterema dniami, czyli dziewiątego stycznia, otrzymałem popołudniową pocztą list polecony, adresowany ręką kolegi lekarza i mojego towarzysza z lat szkolnych — doktora Henryka Jekylla. Byłem zdziwiony, bo nie mieliśmy zwyczaju korespondować ze sobą, a ponadto poprzedniego wieczora widziałem się z Jekyllem, nawet jadłem u niego obiad, ze względu zaś na charakter naszych stosunków nie mogłem wyobrazić sobie niczego, co usprawiedliwiałoby zwrócenie się do mnie aż tak formalnie. Ale treść listu zdumiała mnie jeszcze bardziej, była bowiem następująca:

9 stycznia 18[redacted] r.

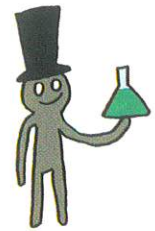
Drogi Lanyon! Zaliczam Cię do grona najdawniejszych przyjaciół i jakkolwiek różnimy się niekiedy w kwestiach naukowych, nie przypominam sobie ochłodzenia naszych życzliwych uczuć — przynajmniej z mojej strony. Nie było dnia, kiedy nie poświęciłbym chętnie lewej ręki, aby pośpieszyć Ci

z pomocą, gdybyś rzekł: „Jekyll, moje życie, honor, zdrowe zmysły — wszystko to zależy od Ciebie". Otóż, Lanyon, moje życie, honor, zdrowe zmysły — wszystko to zdane jest na Twoją łaskę. Zginę, jeżeli mnie zawiedziesz! Spodziewasz się zapewne po takim wstępie, iż zamierzam Cię prosić o coś niegodnego. Sam tedy osądź.

Pragnę, abyś na dzisiejszy wieczór i noc przekreślił wszelkie obowiązki, abyś odmówił, gdyby Cię wezwano do łoża konającego cesarza. Weź natychmiast dorożkę, jeżeli Twój stangret nie będzie wolny, i z tym listem w ręku pojedź prosto do mojego domu. Poole, mój kamerdyner, otrzyma rozkazy. Będzie na Ciebie czekał ze ślusarzem, który wyważy drzwi mojego gabinetu. Wejdź do tego pokoju sam i otwórz (siłą, gdyby była zamknięta) oszkloną szafkę stojącą po lewej stronie i opatrzoną literą E. Następnie wyciągnij szufladkę czwartą od góry lub, co na jedno wy-

chodzi, trzecią od dołu i zabierz ją tak, jak jest, z c a ł ą jej zawartością. Drżę na myśl, że mógłbym Cię błędnie pokierować, lecz gdybym nawet popełnił omyłkę, właściwą szufladkę poznasz po zawartości. Znajdziesz w niej torebkę z proszkami, fiolkę i notes w tekturowej okładce. Nic więcej tam nie ma, ale to wszystko wraz z szufladką weź ze sobą do domu.

Tak przedstawia się pierwszy etap Twojego zadania. A teraz — drugi. Jeżeli wyjedziesz z Cavendish Square zaraz po otrzymaniu tego listu, wrócisz na długo przed północą. Wolę wszelako zostawić Ci rezerwę czasu, nie tylko ze względu na nieprzewidziane przeszkody, które zawsze mogą wyniknąć, lecz również dlatego, że dopełnienie Twojej niezmiernie ważnej misji będzie łatwiejsze, gdy służba pójdzie na spoczynek. Proszę Cię zatem, abyś o północy był sam w swoim gabinecie i osobiście wpuścił do domu kogoś, kto powoła się na moje



nazwisko. Człowiekowi temu wręcz szufladkę zabraną z mego domu. Wówczas spełnisz do końca moje życzenie i zyskasz dozgonną wdzięczność przyjaciela. Jeżeli natomiast zażądasz bliższych wyjaśnień, w ciągu pięciu minut zrozumiesz, że wszystko, o co Cię proszę, ma kapitalne znaczenie, chociaż na pozór wydaje się niedorzecznością; że zaniedbanie najdrobniejszego szczegółu mogłoby obciążyć Twe sumienie śmiercią lub nieuleczalnym obłędem starego druha.

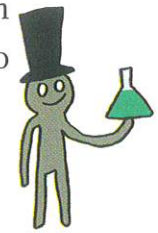
Nie zlekceważysz mojej prośby — wierzę w to głęboko — lecz na samą myśl o takiej możliwości ręka mi drży i serce zamiera w piersi. Czytając mój list, wyobraź sobie, iż w tej właśnie chwili znajduję się w jakimś nieznanym, ponurym miejscu, iż targa mną niewysłowiona rozpacz i obawa. Zarazem jednak jestem pewien, że jeżeli wykonasz wszystko ściśle i we właściwej porze, moja udręka przeminie niby opowiedziana bajka.

Pomóż, drogi Lanyonie! Wybaw starego przyjaciela.

H.J.

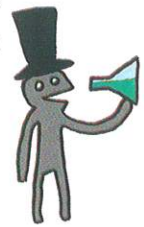
PS Zapieczętowałem już kopertę, lecz naszła mnie nowa obawa. Może się zdarzyć, że poczta zawiedzie i list otrzymasz dopiero jutro rano. W takim razie, drogi Lanyonie, pierwszą część mojej prośby spełnij w ciągu dnia, kiedy Ci będzie najwygodniej, a posłańca czekaj o północy. Może już być za późno, jeżeli więc nikt nie przyjdzie, spodziewaj się, że Henryka Jekylla nie ujrzysz już nigdy.

Po przeczytaniu tego listu byłem zdania, że doktor Jekyll oszalał, nie mając jednak absolutnej pewności, zastosowałem się do dziwacznej prośby. Uważałem to za święty obowiązek, bo im bardziej niezrozumiale przedstawiała się moja rola, tym trudniej było ocenić jej wagę, a zlekceważenie tak sformułowanego błagania obciążyłoby mnie zbyt poważną odpowiedzialnością. Wobec tego wstałem od stołu, wsiadłem w pierwszą dorożkę i kazałem się zawieźć do



Jekylla. Kamerdyner oczekiwał mojej wizyty. Tą samą pocztą otrzymał list polecony i niezwłocznie posłał po ślusarza i cieślę. Nie skończyliśmy jeszcze wstępnej rozmowy, gdy nadeszli obaj rzemieślnicy i razem udaliśmy się do prosektorium nieboszczyka doktora Denmana, skąd, jak Ci niewątpliwie wiadomo, najłatwiej dostać się do gabinetu. Drzwi były mocne, zamek znakomitej roboty. Cieśla zaklinał się, że będzie miał moc kłopotów i narobi szkody, jeżeli użyje siły. Ślusarz był bliski rozpaczy, lecz okazał się człowiekiem zręcznym i po dwóch godzinach poradził sobie jakoś z zamkiem. Szafka oznaczona literą E nie była zamknięta. Wyciągnąłem szufladkę, utkałem słomą, owinąłem w papier i wróciłem na Cavendish Square.

W domu wziąłem się zaraz do badania jej zawartości. Proszki wykonano dość starannie, lecz daleko im było do aptekarskiej precyzji, domyśliłem się więc, że to robota samego Jekylla. Kiedy rozwinąłem jeden z papierków, znalazłem w nim coś, co uznałem za sól białą krystalicznej budowy. Z kolei zająłem się fiolką. Mniej więcej do połowy wypełniał ją płyn krwistoczerwonej barwy, cuchnący bardzo niemile, jak gdyby fosforem, eterem siarczanym i jeszcze czymś, czego nie mogłem rozpoznać. Notes nie odznaczał się niczym osobliwym. Zawierał długi szereg dat, które pokrywały wieloletni okres i urywały się nagle przed niespełna rokiem. Tu i ówdzie zauważyłem przy datach krótkie notatki. „Podwójna dawka" powtarzało się sześć razy na kilkaset wniesionych pozycji. Na samej górze kolumny napisano raz: „zupełna klapa!!!" z kilkoma wykrzyknikami. Bardzo mnie to wszystko zaciekawiło, lecz wyjaśniało niewiele. Miałem przed sobą fiolkę jakiejś mikstury, biały proszek w papierkach i notatki tyczące doświadczeń, które — jak i inne pomysły Jekylla — nie wiodły zapewne do żadnego praktycznego celu. Jakim cudem sprowadzenie tych rzeczy do mojego domu mogło wpłynąć na honor, stan władz umysłowych czy nawet życie tego dziwaka? Jeżeli jego posłaniec może zgłosić się do mnie, może równie dobrze pójść w każde inne miejsce. A jeśli nie — to dlaczego mam go przyjmować w tajemnicy? Im dłużej się zastanawiałem, tym mocniej byłem przekonany, że w grę wchodzi choroba psychiczna, kiedy więc służba



udała się na spoczynek, naładowałem rewolwer, by na wszelki wypadek mieć się czym bronić.

Londyńskie zegary wybiły wreszcie północ i umilkły. W tej chwili kołatka poruszyła się ledwie dosłyszalnie. Sam poszedłem do drzwi i na ganku zastałem niskiego mężczyznę, który przycupnął między kolumnami.

— Od doktora Jekylla? — zapytałem.

Przyświadczył nerwowym gestem, a kiedy zaprosiłem go do środka, podejrzliwie zerknął za siebie. W pobliżu ukazał się policjant, który nadchodził ze ślepą latarką. Na ten widok tajemniczy gość wzdrygnął się i z widocznym pośpiechem wskoczył do przedpokoju. Przyznaję, że zdziwiło mnie to nieprzyjemnie, toteż wchodząc za nim do jasno oświetlonego gabinetu, ściskałem w garści rękojeść rewolweru.

Nareszcie mogłem obejrzeć zaufanego mojego kolegi. Na pewno nie zetknąłem się z nim nigdy w życiu. Jak już wspomniałem, był bardzo małego wzrostu, poza tym zdziwił mnie odpychający wyraz jego twarzy, niezmierna ruchliwość, może nawet siła przy budowie na pozór chuderlawej i wątłej. Jego obecność budziła osobliwy,

niezrozumiały wstręt, któremu towarzyszył niepokój i wyraźnie wzmożone tętno. Zrazu sądziłem, że to mimowolna, nieuzasadniona odraza, i zaniepokoiło mnie tylko jej natężenie. Wkrótce jednak doszedłem do wniosku, że przyczyn tego zjawiska należy szukać głębiej, w naturze ludzkiej i że są szlachetniejsze niż zwykła awersja.

Człowiek ów (od pierwszej chwili wzbudził on we mnie uczucie, które najlepiej chyba nazwać ciekawością zabarwioną obrzydzeniem) odziany był tak, że zwykły śmiertelnik wyglądałby na jego miejscu groteskowo. Miał na sobie ubranie z drogiego i gustownego materiału, lecz o wiele za obszerne. Szerokie spodnie wisiały na cienkich nogach i były podwinięte u dołu, bo inaczej wlokłyby się po ziemi. Stan surduta sięgał niżej bioder, a kołnierz leżał rozpostarty na ramionach. Ale ten komiczny strój bynajmniej nie wywoływał śmiechu, gdyż pasował do ogólnego wrażenia, jakie sprawiał jego właściciel — osobnik dziwny, odrażający, nieludzki — i pogłębiał jedynie niechęć zrodzoną od pierwszego wejrzenia. Obecnie interesowałem się nie tylko osobliwą postacią i cechami charakteru swego



gościa. Zaciekawiło mnie również jego pochodzenie, tryb życia, los, pozycja.

Opis tych obserwacji pochłonął wiele miejsca i czasu, w istocie była to jednak kwestia sekund. Posłaniec doktora Jekylla nie panował nad posępnym wzburzeniem.

— Ma pan? — krzyknął. — Ma pan wszystko?

Niecierpliwość jego była tak wielka, że ośmielił się położyć mi dłoń na ramieniu i usiłował mną potrząsnąć. Odepchnąłem go i nagle zdałem sobie sprawę, że to zetknięcie przejęło mnie lodowatym dreszczem.

— Bardzo przepraszam — powiedziałem — szanowny pan zapomina, że jak dotąd nie mam przyjemności znać szanownego pana. Proszę łaskawie usiąść.

Dałem mu dobry przykład, zajmując swoje zwykłe miejsce, jak gdybym przyjmował pacjenta. Starałem się też o zupełnie naturalny ton i zachowanie, oczywiście w granicach, na jakie pozwalała spóźniona pora, natłok dziwnych myśli i bezwiedny lęk przed tym osobliwym człekiem.

— Proszę mi wybaczyć, panie doktorze — odparł dość uprzejmie. — Ma pan w zupełności

rację. Jestem niegrzeczny, ale to wszystko zdenerwowanie. Przyszedłem tutaj na prośbę pańskiego kolegi, doktora Jekylla, w sprawie, o ile mi wiadomo, wielkiej wagi. Chodzi... — Urwał i podniósł dłoń do gardła; widać było, że mimo pozorów opanowania zmaga się rozpaczliwie z nadchodzącym atakiem histerii. — Chodzi o... Jakaś... Jakaś... Szuflada...

Ulitowałem się nad jego męką i po trosze zapewne nad własną ciekawością.

— Oto ona, proszę pana — rzekłem i wskazałem stojącą na podłodze za biurkiem szufladę, wciąż jeszcze owiniętą w papier.

Skoczył w jej stronę, lecz na chwilę przystanął, chwytając się za serce. Wyraźnie słyszałem, jak zgrzyta zębami, a kiedy spojrzałem na niego, zobaczyłem twarz śmiertelnie bladą, wykrzywioną upiornie. Zatrwożyłem się o życie i zdrowe zmysły swego gościa.

— Spokoju. Trochę spokoju — powiedziałem.

Odwrócił się, uśmiechnął okropnie i, jak gdyby podejmując rozpaczliwą decyzję, zerwał papier z szufladki. Na widok jej zawartości dobył mu się z gardła szloch tak niezmiernej ulgi, że



ze zdumienia skamieniałem w swym fotelu. Nim zdążyłem oprzytomnieć, zapytał całkiem opanowanym głosem:

— Ma pan menzurkę?

Dźwignąłem się nie bez wysiłku i podałem mu żądane naczynko. Podziękował mi skinieniem głowy i uśmiechem. Później odmierzył kilka kresek szkarłatnego płynu i wsypał do menzurki jeden proszek. Mieszanina, rdzawa zrazu, poczęła jaśnieć, w miarę jak rozpuszczały się kryształki, jednocześnie zaś burzyła się głośno i strzelała bańkami gazu. Nagle objawy te ustały, a ciecz zmieniła kolor na ciemnopurpurowy, by po niejakim czasie zabarwić się zielono, niby woda w stawie. Wówczas mój gość, który od początku śledził bacznym okiem wszystkie przemiany, wykrzywił się w uśmiechu i powiedział, spoglądając na mnie bystro:

— Pora teraz na ostateczne wyjaśnienie. Czy będziesz pan rozumny, ostrożny, przezorny i bez dalszej rozmowy pozwolisz mi zabrać to naczynie i dom twój opuścić na zawsze? Czy też zbyt silnie włada tobą ciekawość? Zastanów się, nim odpowiesz, bo postąpię tak, jak będziesz sobie

życzył. Albo zostaniesz jak dawniej, nie mądrzejszy, a bogatszy tylko o tyle, o ile przysługę oddaną bliźniemu w śmiertelnym niebezpieczeństwie można uważać za wzbogacenie duszy; albo, jeżeli zechcesz, nowe dziedziny wiedzy, nowe drogi do sławy i potęgi staną przed tobą otworem, tu za chwilę, w tym pokoju. Na własne oczy możesz oglądać cud, który wstrząśnie od podstaw twoją niewiarą w Szatana.

— Panie — odrzekłem z udanym chłodem, chociaż płonąłem wewnętrznie — mówisz pan zagadkami i nie zdziwi cię pewnie, gdy powiem, że daleki jestem od wiary w twoje słowa. Zbyt długo jednak kroczę drogą niezrozumiałych przysług, by nie oglądać zakończenia.

— Zgoda! — odparł mój gość. — Lanyon! Pamiętaj o złożonych ślubach! Wszystko, co ujrzysz, musi spocząć pod pieczęcią tajemnicy zawodowej. A teraz! Ty, coś tak długo hołdował najbardziej ciasnym, przyziemnym poglądom, coś nie uznawał medycyny transcendentalnej, szydził z lepszych od siebie... Spójrz!

Przyłożył menzurkę do ust i zawartość jej wypił jednym haustem. Potem wrzasnął okropnie,



zatoczył się, zwinął, chwycił kurczowo stołu, wybałuszył oczy i otwartymi ustami począł chwytać oddech. Nie mogłem oderwać odeń wzroku i po chwili dostrzegłem dziwne, szybko zachodzące przemiany. Mój gość jak gdyby rósł i pęczniał. Twarz mu pociemniała, rysy zacierały się, zmieniały i... Zerwałem się zza biurka, uskoczyłem pod ścianę i opanowany straszliwą grozą, wyciągnąłem ręce, aby zasłonić się od cudu.

— Wielki Boże! — krzyknąłem. — Wielki Boże! Wielki Boże!

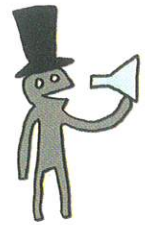
Na nic innego zdobyć się nie mogłem. Przede mną — blady, drżący, bliski omdlenia, szukający drogi omackiem niby człowiek, co powstał z grobu — stał Henryk Jekyll.

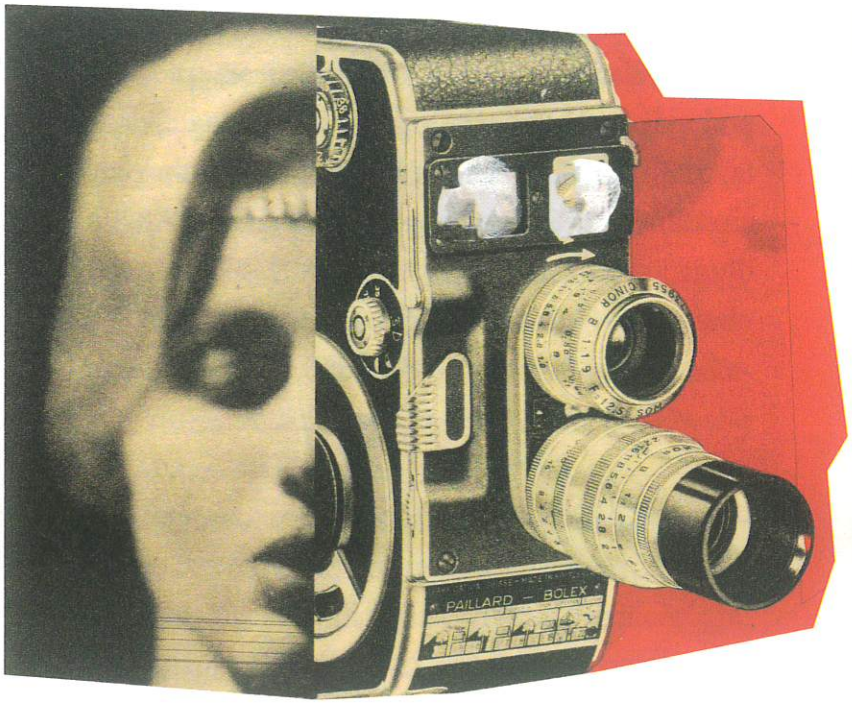
Tego, co wyznał mi w ciągu najbliższej godziny, nie odważę się przenieść na papier. Widziałem, słyszałem i dusza we mnie zaniemogła. Ale dziś, kiedy wszystko przeminęło, pytam sam siebie, czy w to wierzę, i nie mogę zdobyć się na odpowiedź. Moje życie zostało wstrząśnięte do głębi, sen mnie opuścił, a blady strach nie odstępuje za dnia i w nocy. Czuję, że moje dni są policzone. Muszę umrzeć, ale ze światem rozstanę

się pełen wątpliwości. Bez upiornej zgrozy nie potrafię wspomnieć bagna zgnilizny moralnej, które ten człek mi odkrył, chociaż, wtajemniczając mnie, ronił łzy pokutne.

Na zakończenie dodam coś, co wstrząśnie Tobą, Uttersonie, jeżeli oczywiście zdołasz mi uwierzyć. Stwór, który owej nocy zakradł się pod mój dach, był, według wyznań samego Jekylla, znany pod nazwiskiem Hyde'a — mordercy sir Danversa Carew, tropionego dziś jak Anglia długa i szeroka.

Hastie Lanyon





PEŁNA SPOWIEDŹ HENRYKA JEKYLLA



London

Przyszedłem na świat w roku 18[redacted], a przyniosłem ze sobą nie tylko prawo do znacznej fortuny, lecz również nieprzeciętne zdolności, pracowitość, uczciwość oraz chęć, by budzić życzliwy szacunek ludzi mądrych i dobrych. Należało się więc spodziewać, iż czeka mnie obiecująca i zaszczytna przyszłość. Otwarcie mówiąc, główną moją wadę stanowił bujny temperament i nadmierna wszechstronność zainteresowań. Usposobienie takie często bywa podstawą szczęścia, wszelako ja nie mogłem go pogodzić z przemożnym pragnieniem, by głowę nosić wysoko i okazywać bliźnim maskę surowej powagi. Z tej przyczyny starannie ukrywałem przyjemności i rozrywki, kiedy zaś osiągnąłem wiek dojrzały i począłem rozglądać się wokół, szacując swe zdobycze i stanowisko w świecie, przywykłem już do podwójnego życia. Niejeden chwaliłby się takimi grzeszkami, ale ja bolałem nad nimi i taiłem je wstydliwie ze względu na szczytne cele, które sobie wytknąłem. A zatem raczej to wysokie aspiracje niż upadek moralny przywiodły mnie do ówczesnego stanu i rozcięły



niby nożem sfery dobra i zła, co dzielą, a zarazem łączą podwójną naturę ludzką. W tej sytuacji począłem rozmyślać nad nieubłaganymi prawami życia tkwiącymi u podstaw wszelkiej religii i stanowiącymi posępne źródło rozterki i niedoli. Chociaż niewątpliwie dwulicowy, nie byłem obłudnikiem. Obie moje połowy postępowały najzupełniej szczerze. Byłem sobą, gdy zerwawszy tamy, nurzałem się w brudzie. Byłem sobą, gdy w jasnym świetle dnia pracowałem nad postępami nauki lub niosłem ulgę cierpieniom i nędzy. Badania prowadziłem wyłącznie w dziedzinie zjawisk metafizycznych, i tak się złożyło, że rozwój ich rzucił potężny snop światła na tę stałą wewnętrzną walkę toczoną przez moje dwie połowy. Z dnia na dzień moralna i intelektualna świadomość zbliżała mnie do prawdy, której częściowe poznanie stało się później powodem straszliwej katastrofy — do prawdy, że człowiek to nie jedna, ale dwie istoty. Powiadam dwie, gdyż moja wiedza nie sięga poza tę granicę. Po mnie przyjdą inni, dalej posuną się tą samą drogą, wyprzedzą mnie i dowiodą hipotezy, którą dzisiaj ośmielę się wysunąć: iż człowiek jest zbiorowi-

skiem wielu niezależnych, samodzielnych bytów. Ja — ze względu na charakter i tryb życia — wędrowałem nieuchronnie w jednym i tylko w jednym kierunku. Moralna strona zagadnienia, obserwowana na własnej osobie, zrodziła we mnie myśl o zasadniczej, prymitywnej dwoistości. Dzięki sprzecznym naturom, wiodącym we mnie walkę, zrozumiałem, że słusznie można mi przypisać każdą z nich dlatego właśnie, że obydwie we mnie działają. Daleki jeszcze byłem od naukowych odkryć, które uprzytomniły mi realną możliwość takiego cudu, często jednak roiłem na jawie i zabawiałem się myślą o rozłączeniu przeciwstawnych elementów. Gdyby każda z moich dwóch natur mogła zamieszkać w niezależnym ciele — myślałem sobie — życie uwolniłoby się od tego, co jest nie do zniesienia. Człowiek zły szedłby własną drogą, niedręczony wyrzutami sumienia szlachetniejszego bliźniaka. Dobry kroczyłby prostą ścieżką cnoty i radował się zacnymi uczynkami, nie cierpiąc i nie pokutując za grzechy nierozdzielnej z nim występnej cząstki. Przekleństwo ludzkości polega więc na tym, że dwie sprzeczne natury są ze sobą na wieki



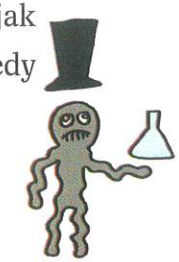
złączone, że w otchłani dręczonego sumienia muszą toczyć tragiczne, niekończące się boje. Jak je rozdzielić? Na to pytanie nie znajdowałem odpowiedzi.

W takim stanie rozważań abstrakcyjnych promień światła padł nagle z laboratoryjnego stołu. Uprzytomniłem sobie tak jasno jak nikt przede mną dziwną niematerialność, jak gdyby mglistą zwiewność tej na pozór solidnej powłoki, w którą odziani wędrujemy po ziemi. Odkryłem, że pewne związki potrafią targać i rozsuwać cielesne szaty, podobnie jak wiatr odrzuca płócienne zasłony namiotu.

Z dwóch przyczyn — jak mi się wydaje, uzasadnionych — nie zamierzam rozwodzić się obszerniej nad naukową stroną zagadnienia stanowiącego temat tej spowiedzi. Po pierwsze, stwierdziłem, że brzemię życia musi przytłaczać ludzkie barki, kiedy zaś człowiek próbuje je zrzucić, brzemię powraca w innej, obcej formie i powoduje udrękę nie do zniesienia. Po drugie, odkrycie moje było niezupełne, co — aż nazbyt jasno, niestety! — wyniknie z dalszego ciągu opowieści. Niechaj wystarczy, że nie tylko

stwierdziłem, iż moje ciało jest emanacją sił składających się na ducha, lecz również dzięki odkryciu pewnego medykamentu zawładnąłem rzeczonymi siłami i zdołałem wyzwolić z ich mocy drugą postać i oblicze — niewątpliwie moje, gdyż stanowiące ucieleśnienie gorszych stron natury Henryka Jekylla.

Wysnutą teorię poddałem próbie praktyki dopiero po długim wahaniu. Rozumiałem jasno, iż ryzykuję życiem, bo potężny środek zdolny przeobrazić cielesną powłokę mógł przecież w razie najmniejszego bodaj przedozowania lub innego uchybienia zniweczyć i unicestwić niematerialny obraz, który chciałem jedynie odmienić. Ale pokusa, by potwierdzić niezwykłe, przełomowe odkrycie, zmogła na koniec wszelkie obawy. Miksturę przygotowałem od dawna, musiałem więc jedynie zakupić w aptekarskiej hurtowni znaczną ilość pewnej soli, która — jak wiedziałem z poprzednich doświadczeń — była ostatnim potrzebnym składnikiem. Nadeszła noc po stokroć przeklęta. O późnej godzinie wsypałem proszek do cieczy. Pilnie obserwowałem, jak mieszanina burzy się i dymi w szklance, a kiedy



musowanie ustało, dodając sobie odwagi, jednym łykiem wypiłem gotową miksturę.

Nastąpiły okropne bóle: łamanie w kościach, potworne mdłości i strach tak niezmierny, że równego mu doświadcza człowiek chyba tylko w momencie narodzin lub zgonu. Ale męka minęła rychło. Ocknąłem się jak chory, uleczony nagle z ciężkiej niemocy. Uczucia moje były niewypowiedzianie dziwne, zupełnie nowe i dzięki tej nowości upajające, rozkoszne. Czułem się młodszy, lżejszy, zadowolony z życia. A w duchu byłem beztroski, wyzwolony — tysiączne bezwstydne, zmysłowe obrazy mknęły na wyścigi przed oczyma wyobraźni, pękały wszelkie więzy obowiązków, duszę przepajała nieznana mi dotychczas grzeszna swoboda. Od pierwszego oddechu w tym nowym życiu zdawałem sobie sprawę, że jestem gorszy, dziesięćkroć gorszy, że jak niewolnik zaprzedałem się mojej niecnej połowie, ale ta myśl porywała mnie zrazu i upajała niczym wino. Zachwycony nowością, wyciągnąłem ręce i w tej chwili uprzytomniłem sobie, że zmalałem.

Nie miałem wtedy lustra w gabinecie. Tremo, które stoi za mną, gdy piszę te słowa, kazałem

przynieść później, aby dokładnie obserwować przemiany, jakim ulegałem. Tymczasem jednak noc minęła i mglisty dzień miał wyłonić się wkrótce z szarego brzasku. Wszyscy domownicy spali mocno, jak zwykle nad ranem. Pełen nadziei i dumy z osiągniętego triumfu, postanowiłem zaryzykować w nowym ciele wyprawę do mojej sypialni. Kiedy znalazłem się na podwórzu, gwiazdy spojrzały z góry, a mnie uderzyła myśl, że mimo wiecznego czuwania nigdy nie oglądały podobnej istoty! Obcy we własnym domu, pomknąłem korytarzami i w sypialnym pokoju po raz pierwszy ujrzałem Edwarda Hyde'a.

Teraz muszę znowu odwołać się do teorii i mówić nie o tym, co wiem, lecz co uważam za najbardziej prawdopodobne. Zła cząstka natury wyzwolona obecnie i sprawująca władzę była cieleśnie słabsza i gorzej rozwinięta niż dobra, którą odtrąciłem. Zarazem jednak mniej utrudziła się i wyczerpała, gdyż dotychczas dziewięć dziesiątych życia poświęcałem przecież pracy, cnocie i panowaniu nad sobą. Dlatego właśnie Edward Hyde był znacznie niższy, szczuplejszy i młodszy niż Henryk Jekyll. Jedną twarz rozjaśniał

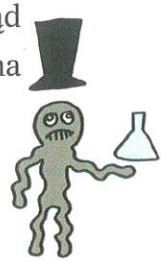


blask wewnętrznego światła, na drugiej zło wyraźnie odcisnęło swe piętno. Ponadto zło (mimo wszystko, jak wierzę, śmiertelnie dla człowieka groźne) zniekształciło i jak gdyby okaleczyło całą postać swojego wcielenia. Mimo to, obserwując bacznie brzydotę w lustrzanej tafli, nie czułem odrazy, lecz raczej przypływ serdeczności. Przecież to także byłem ja — ludzki i naturalny. Ta twarz wydawała mi się bardziej prostym, wymownym odzwierciedleniem ducha niż targane sprzecznymi uczuciami oblicze, które dotychczas uważałem za swoje. W tym przypadku niewątpliwie miałem słuszność. Wielekroć obserwowałem później, że gdy występowałem pod postacią Hyde'a, każdy, kto po raz pierwszy zbliżał się do mnie, odczuwał fizyczny wstręt, niepokój i obawę. Wyjaśniam to w ten sposób, że na drodze życia spotykamy istoty stanowiące zawsze połączenie dobra i zła, a czyste zło reprezentował tylko Edward Hyde — on jeden w niezmierzonym oceanie ludzkości.

Niedługo marudziłem przed lustrem, bo czekał mnie jeszcze jeden, decydujący eksperyment. Należało się przekonać, czy nie na dobre utraci-

łem dawną osobowość, czy zanim dzień zaświta, nie będę musiał cichaczem umykać z niemojego już domu. Szybko wróciłem do gabinetu, przyrządziłem i zażyłem świeżą dozę mikstury. Po straszliwych mękach wyłoniłem się z nicości w poprzedniej postaci. Miałem wzrost, twarz i charakter doktora Henryka Jekylla.

Tamtej nocy stanąłem na rozstajnych drogach. Skutki były fatalne! Gdybym na swoje odkrycie spojrzał z innej, godziwszej strony, gdybym ryzykowny eksperyment podjął w zbożnym, szlachetnym celu — wszystko wyglądałoby odmiennie, a z mąk narodzin i zgonu powstałby anioł zamiast czarta. Przyrządzony przeze mnie medykament nie działał w określonym kierunku, nie był niebiańskim czy piekielnym balsamem — otwierał tylko drzwi więzienia i uwalniał tych, co się za nimi szamotali. Cnota moja drzemała w owym czasie, a złe skłonności rozbudzone przez wybujałą ambicję — ożywione i czujne — skwapliwie podchwyciły nadarzającą się sposobność. Widomym tego płodem była postać znana później pod mianem Edwarda Hyde'a. Jak stąd wynika, od owej nocy dysponowałem dwoma



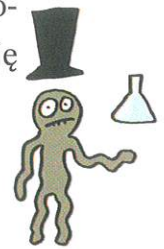
charakterami i dwoma osobami, z których jedna była absolutnie zła, druga zaś pozostała dawnym Henrykiem Jekyllem — niedoskonałym zlepkiem, w którego poprawę i zbawienie nauczyłem się już wątpić. Możliwa więc była tylko zmiana na gorsze.

Pojmowałem to, lecz nie mogłem przemóc odrazy do nudnego żywota oddanego nauce. Chwilami nadal bywałem usposobiony wesoło, co stawało się coraz bardziej kłopotliwe i niemiłe, gdyż te rozrywki szeroko znanego, powszechnie szanowanego starszego pana wypadałoby nazwać co najmniej nieprzystojnymi. Dlatego właśnie świeżo nabyta władza kusiła mnie, dopóki nie popadłem bez reszty w jej niewolę. Wystarczyło jedynie łyknąć dozę leku, by zrzucić ciało słynnego profesora i niby grubą peleryną otulić się tożsamością Edwarda Hyde'a. Myśl tę witałem uśmiechem, bo w owym czasie wydawała mi się niesłychanie pocieszna.

Rozpocząłem staranne przygotowania. Wynająłem i umeblowałem dom w Soho — ten, w którym policja wytropiła później Hyde'a. Przyjąłem gospodynię — starszą niewiastę, dyskretną

i absolutnie pozbawioną skrupułów. Ale nie na tym koniec. Opisawszy pana Hyde'a, zapowiedziałem własnej służbie, by wpuszczała go do domu i słuchała we wszystkim, a chcąc uniknąć nieporozumień, kilkakroć pojawiłem się w drugiej postaci. Następnie sporządziłem testament, który oburzył Cię tak srodze, drogi Uttersonie. Gdyby jednak doktorowi Jekyllowi przytrafiło się nieszczęście, dzięki niemu mógłbym bez strat pieniężnych rozpocząć nowe życie w ciele Edwarda Hyde'a. Zabezpieczywszy się tak — jak sądziłem, ze wszystkich stron — jąłem korzystać z osobliwego prawa nietykalności.

Dawnymi laty ludzie najmowali zbirów, by zbrodniami nie kalać własnej opinii. Ja, pierwszy w dziejach, popełniałem zbrodnie dla rozrywki. Mogłem przed światem chodzić z podniesionym czołem, a zarazem na każde żądanie pozbywać się niedogodnych więzów i niby uczniak na wagarach dawać nurka w morze bezbrzeżnej swobody. Byłem bezpieczny, nikt bowiem nie mógł przeniknąć niepojętej maski. Na Boga! Przecież nawet nie istniałem! Niechaj przekroczę próg laboratorium, a w dwie sekundy zmieszam i wypiję

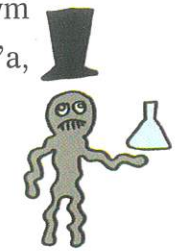


cudowny środek, którego składniki zawsze mam w pogotowiu. Wtedy Edward Hyde, jakikolwiek czyn by popełnił, rozpłynie się w nicości niczym para oddechu na lustrzanej tafli, zastąpi go zaś człowiek, co drwić może ze wszystkich posądzeń: Henryk Jekyll, który w domowym zaciszu przycina właśnie knot lampy w swoim gabinecie.

Rozrywki, na które sobie pozwalałem, były, jak się już rzekło, co najmniej niegodne, lecz w rękach Edwarda Hyde'a stały się wnet plugawe. Kiedy wracałem z nocnych wycieczek, często z niedowierzaniem rozmyślałem o swym straszliwym upadku. Osobnik wywoływany z mroków mojej duszy i spuszczony ze smyczy, by używał do woli, był łajdakiem szczególnie złośliwym. Samolubny we wszystkich myślach i uczynkach, bezlitosny niby posąg z kamienia, po bestialsku rozkoszował się męką i cierpieniami innych. Henryk Jekyll drętwiał chwilami, uświadamiając sobie postępki Edwarda Hyde'a. Ale zupełnie nowa sytuacja — obca wszelkim przyrodzonym prawom — wpływała kojąco na wyrzuty sumienia. Przecież Hyde i tylko Hyde był za wszystko odpowiedzialny. Jekyll nie ponosił winy. Budził

się rano z pogodnym obliczem, godny szacunku i na pozór nieskazitelny. Ba! Starał się nawet naprawiać zło czynione przez Hyde'a, jeżeli oczywiście nie było za późno. Dzięki temu sumienie doktora Henryka Jekylla drzemało.

Nie myślę wchodzić w szczegóły hańby, którą się okryłem, bo nawet dzisiaj trudno mi uwierzyć, iż to ja popełniłem te zbrodnicze uczynki. Pragnę tylko zwrócić uwagę na rozmaite ostrzeżenia i kolejne kroki, którymi zbliżała się nieuchronna kara. Pewien incydent, chociaż dość znamienny, wspomnę ledwie w kilku słowach, ponieważ obył się bez groźnych następstw. Hyde bezlitośnie potraktował dziecko. Oburzyło to przypadkowego przechodnia, jak się później okazało, Twojego krewniaka. Lekarz i rodzice skrzywdzonej dziewczynki pośpieszyli mu z pomocą i przez chwilę bałem się o swoje życie. Chcąc załagodzić sprawę, Edward Hyde poprowadził prześladowców do drzwi laboratorium i wyniósł stamtąd czek z podpisem Henryka Jekylla. Nietrudno jednak było uniknąć podobnych niebezpieczeństw na przyszłość. Wystarczyło otworzyć w innym banku konto na nazwisko Edwarda Hyde'a,



kiedy zaś pochylając inaczej pióro, nauczyłem się świadczyć o swym rozdwojeniu nawet podpisem, sądziłem, że nie grozi mi pomsta losu.

Pewnej nocy — mniej więcej na dwa miesiące przed zamordowaniem sir Danversa Carew — wróciłem późno z awanturniczej wyprawy i nazajutrz obudziłem się ze szczególnym wrażeniem. Rozglądałem się po własnej sypialni, dobrze widziałem jej wysoki sufit i znajome od lat cenne meble, rozpoznawałem deseń zasłon przy łóżku i mahoniowe kolumienki baldachimu. Wszystko na próżno! Nie zdołałem odpędzić złudzenia, iż znajduję się w Soho, w ciasnym pokoiku, gdzie nocowałem niekiedy pod postacią Edwarda Hyde'a. Uśmiechnąłem się do siebie i zacząłem dociekać psychologicznych podstaw takiej iluzji, wreszcie zapadłem w rozkoszną drzemkę, nadal snując półsenne rozważania. Wreszcie ocknąłem się i bezwiednie spojrzałem na własną rękę. Otóż dłoń Henryka Jekylla jest szeroka, mocna, biała, foremna — typowa dłoń lekarza, sądząc z rozmiaru i kształtu. Sam to nieraz mówiłeś, Uttersonie. Tymczasem pięść leżąca na kołdrze i wyraźnie widoczna w żółtawym świetle lon-

dyńskiego poranka była szczupła, sucha, sękata, ogorzała i gęsto porośnięta szczeciniastym włosem. Była to ręka Edwarda Hyde'a.

Przez dobre pół minuty patrzyłem na nią w osłupieniu, nim przerażenie zbudziło się w mej piersi i zgrzytnęło niby zdruzgotane cymbały. Wyskoczyłem z łóżka, pobiegłem do zwierciadła, a to, co w nim ujrzałem, zmroziło mi krew w żyłach. Tak! Usnął Henryk Jekyll, zbudził się Edward Hyde! Jak to wyjaśnić? Takie pytanie nasunęło mi się przede wszystkim, wnet jednak nowa fala przerażenia przyniosła drugie: jak temu zaradzić? Jest późno, służba krząta się po domu, a wszystkie leki w gabinecie! Czeka mnie długa wędrówka: schody, korytarz, przestronne, dobrze widoczne podwórze i prosektorium. Skamieniały ze zgrozy stałem w sypialni. Oczywiście, mogę zasłonić twarz, ale cóż z tego, skoro niepodobna ukryć zmiany wzrostu? W tej chwili spłynęło na mnie olśnienie i niewysłowiona ulga. Przecież służba przywykła do mojego drugiego wcielenia, które kilkakrotnie tu przychodziło. Szybko i najlepiej jak umiałem wciągnąłem na siebie o wiele za obszerne ubranie. Bez przeszkód minąłem



schody i korytarz; tylko Bradshaw wzdrygnął się i uskoczył na bok, gdy zobaczył pana Hyde'a o niezwykłej porze i wystrojonego tak dziwacznie. W dziesięć minut później doktor Jekyll zasiadł do stołu i z pochmurnym czołem udawał, że je śniadanie.

Apetytu nie miałem naprawdę. Niepojęte zdarzenie odwróciło sens dotychczasowych eksperymentów i niby na babilońskim murze zdawało się pisać sentencję nieubłaganego wyroku. Głębiej niż kiedykolwiek począłem zastanawiać się nad istotą i możliwymi skutkami podwójnej egzystencji. Wyzwolona świadomie zła część mojej natury była ostatnio bardzo ożywiona, z dnia na dzień nabierała siły. Kilka razy odniosłem nawet wrażenie, iż Edward Hyde podrósł, a występując w jego ciele, czułem, że krew krąży mi w żyłach jak gdyby szybciej, goręcej. Zaczynałem przeczuwać niebezpieczeństwo. Jeżeli zabawa potrwa dłużej, mogę utracić równowagę sprzecznych natur i władzę nad dowolną kolejnością przemian. Wówczas na zawsze przybiorę postać i charakter Edwarda Hyde'a. Cudowny lek czasem zawodził. Na samym początku zdarzyło mi

się całkowite niepowodzenie, później zaś musiałem kilka razy dawkę podwoić, a nawet raz ryzykując życiem, potroić. Te (nieczęste zresztą) zakłócenia stanowiły dotychczas jedyny cień na firmamencie mojego triumfu. Obecnie jednak, w świetle porannego wypadku, uprzytomniłem sobie, że o ile zrazu trudność polegała na wyzwoleniu się z ciała doktora Jekylla, o tyle później, stopniowo, lecz niezawodnie, zaczęła przesuwać się w odwrotną stronę. Wszystko to wskazywało, że z wolna tracę władzę nad lepszą połową mej natury i całkowicie wsiąkam w tę drugą — gorszą.

Nadszedł czas wyboru. Moje wcielenia miały wspólną pamięć, lecz inne cechy obdzielały je nierówno. Jekyll (istota złożona) uczestniczył w wybrykach i przygodach Hyde'a — raz z dreszczem strachu, raz pełen uciechy. Natomiast Hyde nie dbał o Jekylla; jeżeli pamiętał o nim, to tak, jak rozbójnik z gór wspomina pieczarę, w której chroni się przed pościgiem. Jekyll odczuwał troskę więcej niż ojcowską. Hyde obojętność więcej niż synowską. Wcielenie się w Jekylla oznaczałoby dla mnie rezygnację z zachcianek, jakim od



dawna pobłażałem, ostatnio zaś ulegałem coraz bardziej. Wcielenie się w Hyde'a — rezygnację z tysiącznych zainteresowań, ambicji, a zarazem dożywotnią samotność i wzgardę całego świata. Ceny były na pozór nierówne, na szale jednak należało dorzucić coś więcej: Jekylla czekają niezawodnie piekielne męki ognia nienasyconych pragnień, natomiast Hyde nie będzie nawet wiedział, co utracił. Znajdowałem się w nowej, nieznanej sytuacji, a przecież zdawałem sobie sprawę, że moja wewnętrzna rozterka jest równie stara jak rodzaj ludzki. Podobne ponęty i trwogi mamią każdego grzesznika, co lęka się, lecz zarazem ulega pokusom. Ze mną stało się to, co z lwią częścią moich bliźnich od stworzenia świata: obrałem lepszą cząstkę i nie stało mi woli, żeby ją obronić.

Tak! Milszy mi był starszawy, trochę zawiedziony doktor, który pośród grona przyjaciół żyje pogodnie i uczciwie. Bez wahania pożegnałem swobodę, względną młodość, lekki chód, nieokiełznane wybryki i tajone rozkosze dostępne Jekyllowi pod maską Edwarda Hyde'a. Uczyniłem wybór, podświadomie jednak zachowując

furtkę na przyszłość: nie pozbyłem się mieszkania w Soho ani też nie zniszczyłem odzieży Hyde'a, która i teraz leży ukryta w moim gabinecie. Na dwa miesiące dochowałem wiary swej decyzji. Przez dwa miesiące wiodłem życie surowsze niż kiedykolwiek, a czyste sumienie było mi sowitą nagrodą. Ale z czasem spokój ducha stał się czymś powszednim. Dręczony pożądaniem i tęsknotą, miałem wrażenie, iż uwięziony Hyde szamoce się w moim wnętrzu. Wreszcie w chwili moralnego załamania — uległem. Jeszcze raz sporządziłem i wypiłem przemieniającą miksturę.

Nie sądzę, aby pijak rozmyślający o swoim nałogu brał pod uwagę (bodaj raz na pięćset przypadków) niebezpieczeństwa, na jakie się naraża w stanie bydlęcego zamroczenia. Podobnie było ze mną. Nie zastanawiałem się nigdy nad tym, że charakter Edwarda Hyde'a jest nacechowany kompletną antymoralnością, bezdusznym pędem ku złu. Dlatego właśnie poniosłem straszliwą karę. Mój szatan, długo więziony w klatce, wyrwał się na swobodę z opętańczym rykiem. Zaraz po przełknięciu mikstury uświadomiłem



sobie nieokiełznaną, piekielną żądzę czynienia źle. Uległem jej i kiedy moja nieszczęsna ofiara zagadnęła mnie miłym, uprzejmym tonem, poczułem w głębi duszy huragan gniewu i nienawiści. Przysięgam, że nikt zdrowy na umyśle nie mógłby popełnić zbrodni tak pozbawionej sensu i motywów; że zadawałem ciosy równie bezrozumnie jak chore dziecko, co psuje zabawkę. Dobrowolnie jednak potargałem więzy, dzięki którym nawet najgorsi spośród nas omijają pokusy jako tako pewnym krokiem. Dla mnie najsłabszy bodaj impuls równał się upadkowi.

Duch piekieł ocknął się we mnie i rozszalał. W radosnym uniesieniu masakrowałem powalone, bezwładne ciało, a każdy cios sprawiał mi niewysłowioną rozkosz. Szaleństwo przybierało na sile, sięgało szczytów. Wreszcie zmogło mnie utrudzenie, a lodowata groza boleśnie ścisnęła serce. Mgła pierzchła. Zdjął mnie strach o własną skórę. Umknąłem z miejsca zbrodni upojony, a zarazem drżący. Mój żywiołowy pociąg do zła doznał pełnego nasycenia, z kolei instynkt miłości życia doszedł do głosu. Pobiegłem do domu w Soho i zniszczyłem papiery Edwarda Hyde'a,

by się tym pewniej zabezpieczyć. Później umykałem słabo oświetlonymi ulicami, targany tym samym sprzecznym uczuciem — radości i przerażenia. Delektowałem się zbrodnią, obmyślałem inne na przyszłość, jednocześnie zaś trwożnie zerkałem przez ramię i nastawiałem uszu, aby się przekonać, czy tropem moim nie podąża mściciel. Przyrządzając cudowną miksturę, Hyde nucił wesoło, a gdy ją wypił, popadł w otępienie śmierci. Zaledwie minęły cierpienia przemiany, Henryk Jekyll runął na kolana i roniąc łzy podzięki i skruchy, podniósł ku niebu kornie złożone dłonie. Zasłona pobłażliwości dla samego siebie rozdarła się na dwoje. Oczyma wyobraźni oglądałem całe moje życie — od dni dzieciństwa, gdy ojciec wodził mnie za rękę, poprzez samozaparcie i trudy lekarskiego zawodu, aż do potworności ostatniej nocy. Wielekroć przebiegałem tę samą drogę i za każdym razem z uczuciem niewiary wracałem do tej ohydnej sceny. Szlochałem na głos. Łzami i modlitwą próbowałem odpędzić przerażające obrazy i dźwięki. Ale wspomnienia opadły mą duszę i niezmiernym bólem targały ją na strzępy. Wreszcie ostrze cierpienia stępiało po



trosze, a wyrzuty sumienia ustąpiły miejsca radości. Problem został rozwiązany! Hyde był teraz niepodobieństwem. Mimo woli muszę dochować wiary swej lepszej połowie. Ach, z jakim uniesieniem cieszyłem się tą myślą! Jak pokornie gotów byłem przyjąć na nowo więzy normalnego życia! Z jaką satysfakcją zamknąłem drzwi, którymi często umykałem i wracałem, a klucz zgniotłem obcasem!

Następny dzień przyniósł wiadomość, że morderstwo odkryto. Ofiarą padł człowiek wysokiej pozycji, otoczony powszechnym szacunkiem, a winę Edwarda Hyde'a uznano za ewidentną. Była to nie tylko zbrodnia, lecz również dowód tragicznego obłędu. Muszę przyznać, że doświadczyłem znacznej ulgi, gdyż obecnie groza szubienicy miała wspierać i wspomagać moje dobre instynkty. Jekyll był mi teraz ucieczką, bo gdyby Hyde spróbował wychylić się choć na moment, tysiąc rąk wyciągnęłoby się, aby chwycić go i wydać na śmierć.

Postanowiłem przyszłością odkupić przeszłość i dzisiaj wolno mi rzec uczciwie, iż postanowienie to wydało piękne owoce. Dobrze wiesz,

Uttersonie, że w ostatnich miesiącach ubiegłego roku nie żałowałem trudu, by nieść ulgę cierpiącym. Wiesz, że dużo dobrego uczyniłem bliźnim, a moje dnie płynęły spokojnie, niemal szczęśliwie. Nieprawdą byłoby twierdzenie, że nudził mnie pełen miłosiernych czynów, niewinny tryb życia; przeciwnie, z dnia na dzień podobał mi się coraz bardziej. Nadal jednak znaczyło mnie piętno rozdwojenia i gorsza połowa natury, wolna przez czas dłuższy, a ostatnio zakuta w łańcuchy, zaczynała domagać się swobody tym gwałtowniej, im słabsze były męki skruchy. Oczywiście, nigdy nie marzyłem o wskrzeszeniu Hyde'a. Na samą tę myśl przejąłby mnie dreszcz grozy. Zacząłem jednak igrać z sumieniem i szturmowi pokus uległem we własnej osobie, jak zwykły, pokątny grzesznik.

Wszystko musi mieć koniec. Najpojemniejsze naczynie przepełni się wreszcie. Drobne na pozór ustępstwa złym skłonnościom ostatecznie zburzyły równowagę mojego ducha. Zrazu nie obawiałem się wcale. Upadek wydawał mi się naturalnym powrotem do dawnych lat — przed dokonaniem odkrycia.



W pogodny, jasny dzień styczniowy, kiedy szron topnieje i ziemia mięknie pod bezchmurnym niebem, słodka woń nadciągającej wiosny przesycała powietrze w Regent's Park, jędrne jeszcze od zimowych chłodów. Siedziałem na ławce skąpanej w słonecznym blasku. Ukryte we mnie zwierzę ogryzało gnaty wspomnień, a duch przymykał zaspane oczy i obiecywał na przyszłość pokutę, której nie miał ochoty rozpoczynać zaraz. Mimo wszystko — pomyślałem — nie jestem gorszy od swoich bliźnich. Z uśmiechem zacząłem przymierzać się do innych ludzi i porównywać własną czynną dobrą wolę z leniwym okrucieństwem ich bierności. W trakcie tych samochwalnych rozważań chwyciły mnie bóle, nieznośne mdłości i straszliwe dreszcze. Kiedy minęły, byłem bliski omdlenia, niebawem jednak powróciła przytomność i zdałem sobie sprawę z nagłej zmiany usposobienia. Byłem śmielszy, bardziej beztroski. Drwiłem z niebezpieczeństw i za nic miałem sobie więzy obowiązków. Spuściłem wzrok: ubranie zwisało na mnie luźno, leżąca na kolanach ręka była sękata i porosła włosem. Znowu przybrałem postać Hyde'a.

Przed chwilą byłem pewien ludzkiego szacunku, bogaty, uwielbiany; w domowym zaciszu czekał mnie stół nakryty śnieżnobiałym obrusem. Teraz stałem się wyrzutkiem społeczeństwa, tropionym, bezdomnym mordercą, na którego czeka szubienica.

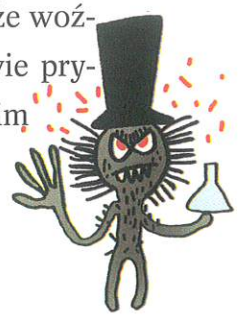
Mąciło mi się w głowie, ale nie postradałem zmysłów. Niejednokrotnie już zwróciłem uwagę, iż w odmienionej postaci jestem bystrzejszy, bardziej elastyczny, odporniejszy duchowo. Obecna sytuacja potwierdziła ten pogląd, bo tam, gdzie Jekyll zawiódłby na pewno, Hyde potrafił stanąć na wysokości zadania. Medykamenty znajdowały się w moim gabinecie w jednej z oszklonych szafek. Jak się do nich dobrać? Ścisnąłem głowę dłońmi i z niezmiernym wysiłkiem próbowałem rozwikłać ów problem. Drzwi laboratorium zamknąłem raz na zawsze. Gdybym próbował wrócić do domu od frontu, własna służba wydałaby mnie w ręce kata. Doszedłem do wniosku, iż trzeba się posłużyć cudzymi rękami i pomyślałem o Lanyonie. Ale jak się z nim zetknąć? Co powiedzieć? Załóżmy nawet, że uniknę aresztowania na ulicy. Cóż z tego? Czy nieznajomy



antypatyczny włóczęga zdoła namówić słynnego lekarza, aby splądrował pracownię swojego kolegi? Wówczas przypomniałem sobie, że ze wszystkich cech doktora Henryka Jekylla pozostała mi jedna: w odmienionej postaci zachowałem własny charakter pisma. Iskierka ta zabłysła nagle i rozjaśniła całą prostą drogę — od początku do końca. Poprawiłem ubranie najlepiej jak umiałem i skinąwszy na przejeżdżającą dorożkę, kazałem się wieźć do skromnego hoteliku przy Portland Street, którego nazwa utkwiła mi w pamięci. Na mój widok (naprawdę pocieszny, chociaż pod cudacznym odzieniem kryła się tragedia) woźnica nie mógł pohamować uśmiechu. Wykrzywiłem się jednak i zgrzytnąłem zębami z tak szatańską furią, że uśmiech zniknął z twarzy dorożkarza — na szczęście dla niego, a jeszcze bardziej dla mnie, bo za chwilę niewątpliwie ściągnąłbym z kozła niewczesnego żartownisia. Do hotelowej jadalni wkroczyłem z groźną miną, toteż kelnerzy powstrzymali się nawet od znaczących spojrzeń i uniżenie wykonali polecenia. Zaprowadzili mnie do osobnego pokoju i wnet przynieśli przybory do pisania. Hyde zagrożony

śmiertelnym niebezpieczeństwem był dla mnie istotą zupełnie nową. Płonął szaleńczym gniewem, kipiał żądzą mordu, pragnął zadawać ból i rany. Ale potrafił zdobyć się na przebiegłość. Niezmiernym wysiłkiem woli okiełznał furię i napisał dwa tak ważne listy: jeden do Lanyona, drugi do Poole'a. Ba! Chcąc mieć niezachwianą pewność, że przesyłki nie zginą po drodze, kazał je nadać jako polecone.

Resztę dnia spędził w hotelowym pokoju, a że nie pozostawało mu już nic do zrobienia, gryzł palce w bezsilnej wściekłości. Obiad zjadł na miejscu, sam, tylko w towarzystwie własnych strachów i kelnera, co usługując mu przy stole, drżał i kulił się pod spojrzeniami niezwykłego gościa. Z nastaniem nocy porzucił wreszcie kryjówkę i zamkniętą dorożką kazał się wozić ulicami miasta — tam i z powrotem, tam i z powrotem. Piszę wciąż „on", bo na „ja" nie potrafię się zdobyć. To dziecię piekieł nie miało w sobie nic ludzkiego. Pozostały mu tylko dwa uczucia: strach i nienawiść. Hyde zląkł się nagle, że woźnica zaczyna coś podejrzewać — i te dwie prymitywne namiętności rozszalały się w nim



z siłą orkanu. Wysiadł z pojazdu i odważył się na pieszą włóczęgę, chociaż źle dopasowany strój zwracał uwagę nielicznych nocnych przechodniów. Szybko przemykał ruchliwymi ulicami; gnany obawą, wciąż przyśpieszał kroku, mówił do siebie, liczył minuty do północy. Raz zaczepiła go kobieta, oferując, jeśli się nie mylę, pudełko zapałek. Uderzył ją w twarz; kobieta uciekła przerażona.

Kiedy odzyskałem przytomność w gabinecie Lanyona, wzruszyła mnie zapewne zgroza starego przyjaciela. Nie wiem. Była to kropla w morzu obrzydzenia, z jakim sam patrzyłem na ostatnie wypadki. Znów nastąpiła przemiana. Dręczyło mnie nie widmo szubienicy, lecz myśl okropna, że raz jeszcze mogę obrócić się w Hyde'a. Jak we śnie wysłuchałem rzuconych przez Lanyona słów potępienia, jak we śnie wróciłem do domu i nareszcie bezpieczny położyłem się do łóżka. Po udręce minionego dnia spałem głęboko, spokojnie. Obudzić mnie nie zdołały nawet koszmary. Rano ocknąłem się świeży pomimo osłabienia i roztrzęsionych nerwów. Nadal nienawidziłem, bałem się myśli o drzemiącej we mnie dzikiej bestii i oczywiście nie zapomniałem straszliwych niebezpieczeństw dnia wczorajszego. Ale byłem pod własnym dachem, w domu, blisko zbawczych leków, toteż radość z powodu udanej ucieczki rozjaśniała mi duszę niby jutrzenka nadziei.

Po śniadaniu, gdy szedłem z wolna przez podwórze i z rozkoszą wdychałem świeże, chłodne powietrze, odczułem nagle nieopisane męki towarzyszące procesom przemiany. Ledwie zdążyłem umknąć do gabinetu, rozszalały się we mnie okrutne namiętności Hyde'a. Tym razem dopiero zdwojona dawka leku przywróciła mi postać doktora Jekylla, lecz — niestety! — po sześciu godzinach, kiedy siedziałem smutno zapatrzony w ogień, bóle wróciły i ponownie musiałem odwołać się do cudownego środka. Krótko mówiąc, od tego fatalnego dnia mogłem być Jekyllem tylko dzięki nieustannemu napięciu woli i pod bezpośrednim działaniem mikstury. Coraz częściej o każdej porze dnia lub nocy wstrząsały mną złowróżbne dreszcze, a co gorsza, ilekroć bodaj na moment zdrzemnąłem się albo usnąłem w fotelu, budziłem się w osobie Hyde'a. Pod groźbą

ustawicznie wiszącej nade mną zguby dobrowolnie skazałem się na bezsenność i czuwałem dłużej, niż znieść potrafi normalny człowiek. Wskutek tego, choć jestem dziś sobą, stałem się istotą wyczerpaną i spustoszoną przez gorączkę. Jestem chory na ciele i umyśle, bezwolny, pochłonięty jedną tylko myślą: strachem przed swoją drugą naturą. Kiedy jednak zasypiałem lub zbawczy lek przestawał działać, następowała przemiana, i to niemal bez uprzedzenia, gdyż bóle słabły, zanikały z dnia na dzień. Wyobraźnia zaczynała malować mrożące krew w żyłach obrazy, w duszy kipiała bezprzedmiotowa nienawiść, ciało zdawało się zbyt małe i wątłe, by pomieścić rozszalałe namiętności i bujną energię życiową. Siły Hyde'a jak gdyby rosły wraz ze słabością Jekylla; ale dzieląca ich nienawiść była obecnie jednakowa, u obydwu równa. W Jekyllu nienawiść zrodził instynkt życia. Doktor dostrzegał teraz w pełni, jak nieludzki był twór, z którym dzielił część świadomości i ramię w ramię kroczył ku śmierci. Tyle ich łączyło, stanowiąc zarazem najboleśniejsze źródło jego rozpaczy i udręki. Ponadto Jekyll, mimo zdumiewających

sił żywotnych swego drugiego wcielenia, traktował je jak coś nie tylko piekielnego, lecz spoza świata istot żywych. Potwornością wydawało mu się, iż drobina plugawego błota mówi i wydaje okrzyki, proch i pył rusza się i grzeszy, coś martwego, pozbawionego kształtu przywłaszcza sobie oznaki życia. Potwornością wydawało mu się, iż ta ohyda jest z nim związana bardziej nierozerwalnie, niż byłaby żona, niż własne oko, bo drzemie w jego ciele i nieustannie wyrywa się na świat, a w chwilach snu i słabości rodzi się i jego samego spycha poza granice życia. Nienawiść Hyde'a do Jekylla inny miała charakter. Obawa przed szubienicą zmuszała go raz po raz do chwilowego samobójstwa, kiedy to schodził do podrzędnej roli i stawał się cząstką zamiast osoby. Ale Hyde brzydził się tą koniecznością, raniła go niechęć, z jaką był traktowany, brzydził się upadkiem i niedolą Jekylla. Dlatego płatał mi często małpio złośliwe figle. Moim charakterem pisma gryzmolił bluźnierstwa na marginesach książek, palił ważne listy, a kiedyś nawet zniszczył portret mojego ojca. Jestem przekonany, że gdyby nie strach przed śmiercią, zabiłby się już

dawno, aby i mnie pociągnąć za sobą w otchłań. Ale on kocha życie i dobrowolnie nigdy się z nim nie rozstanie. Miłość ta jest tak zdumiewająca, że nawet ja, w którym każda myśl o tym drugim wcieleniu budzi wstręt i dreszcz grozy, niemal lituję się nad Hyde'em, gdy uprzytomnię sobie jego beznadziejny, potworny lęk, iż moje samobójstwo będzie i jego kresem.

Przedłużanie mojej spowiedzi jest bezcelowe i z braku czasu niemożliwe. Starczy powiedzieć, że jak świat światem nikt nie wycierpiał podobnych udręk. Ale nawet w najgorszej męce przyzwyczajenie daje nie ulgę wprawdzie, lecz chociaż paraliż duszy czy jakieś drętwe znieczulenie na boleść. Toteż moja pokuta mogłaby trwać lata, gdyby nie katastrofa, która na zawsze odcina mnie od mojej postaci i natury. Kilka dni temu spostrzegłem, że wyczerpują się zapasy proszku, nieuzupełniane od dnia pierwszego ryzykownego doświadczenia. Posłałem do apteki po tę samą sól i przyrządziłem medykament. Mieszanina zaczęła musować i po raz pierwszy zmieniła barwę. Daremnie jednak czekałem na drugą zmianę. Wreszcie wypiłem lek i nie odczułem

żadnych skutków. Uttersonie, dowiesz się od Poole'a, jak rozpaczliwie i na próżno przetrząsałem cały Londyn. Wszystko zdaje się wskazywać, że zakupiona przeze mnie pierwsza partia była zanieczyszczona i cudowna mikstura zawdzięczała skuteczność właśnie tej nieznanej domieszce.

Na daremnych poszukiwaniach minął mniej więcej tydzień. Obecnie zaś kończę spowiedź pod wpływem ostatniego ze starych proszków. Jeżeli zatem nie nastąpi cud, Henryk Jekyll po raz ostatni snuje własne myśli i ogląda w lustrze własne odbicie — jakże straszliwie odmienione. Nie wolno mi zwlekać z postawieniem ostatniej kropki, bo moja spowiedź uniknęła zniszczenia tylko dzięki wielkiej przezorności i jeszcze większemu szczęściu. Gdyby męki przemiany zaskoczyły mnie w trakcie pisania, Edward Hyde poszarpałby te kartki na strzępy. Jeżeli jednak po odłożeniu ich na bok upłynie pewien czas, bezprzykładny egotyzm mojego drugiego wcielenia, które żyje wyłącznie chwilą bieżącą, winien ocalić tę spowiedź przed furią iście małpiej złośliwości.

Zauważyłem, iż nieuchronny los zagrażający nam obydwu odmienił i załamał nawet jego.

Wiem, że za pół godziny, kiedy po raz ostatni i na zawsze wcielę się w znienawidzoną postać, będę drżał i płakał skulony w fotelu albo rozpocznę spacer po tym gabinecie (ostatnim moim schronieniu na ziemi) i ustawicznie chodząc tam i z powrotem, będę wytężał słuch i łowił wszelkie złowróżbne szmery. Czy Edward Hyde zginie na szubienicy? Czy zbierze odwagę i wyzwoli się w ostatniej chwili? Nie wiem i nie dbam o to. Wybiła już prawdziwa godzina śmierci, a co nastąpi później, nie mnie obchodzi, lecz tamtego.

Oto koniec mojej spowiedzi. Za chwilę odłożę pióro i zapieczętuję kopertę. Wówczas nieszczęsny Henryk Jekyll na wieki pożegna się z tym światem.

